



# TAWAĆIN



I oto macie przed sobą trzeci /już! / numer naszego Przeglądu. Staraliśmy się, aby każdy znalazł w nim coś dla siebie, a może i o sobie. Przedstawiamy więc krótką opowieść o wydarzeniach tego lata, zamieszczamy relację „naszego człowieka” z Wiednia oraz opisa spotkania z indyjskim gawędziarzem w Toruniu. Oddzielne wspomnienie, jak różnie całą szatę graficzną, poświęcamy tym razem naszemu jubileuszowemu złotowi. Z przyjemnością dowiemy się, co Wy zapamiętaliście z tego spotkania.

Staramy się też pisać o tym, co ostatnio dzieje się za oceanem, w kraju Indian, chociaż nie zawsze udaje się nam otrzymać najbardziej aktualne wiadomości. Mamy nadzieję, że i z tym będzie coraz lepiej. Ponadto plebiscyt na najlepszą książkę i różne inne, stałe już, pozycje naszego Przeglądu. Na deser – tomik wspaniałych wierszy z cudownymi ilustracjami. To wszystko dla Was.

Jak już informowaliśmy, począwszy od tego numeru wprowadzamy prenumeratę „TAWACINU”. Pozwoli nam to zorientować się, jakie jest rzeczywiste zapotrzebowanie na nasze pismo, umożliwi zwiększenie częstotliwości ukazywania się kolejnych numerów i pozwoli uporządkować sprawy finansowe. Oczywiście będzie to też zależęć od ilości materiałów, jakimi będziemy dysponować. Niestety, bardzo trudno jest namówić Was do współpracy. Tym nielicznym, którzy odpowiedzieli na nasze prośby – serdecznie dziękujemy. Szczególne uznanie należy się Sat-Okhowi, który tak jak obiecał na Zlocie, przysłał nam sporo nowych tekstów. Będziemy je sukcesywnie wykorzystywać.

Nadal czekamy na Wasze listy i artykuły. Nie jesteśmy przecież w stanie jeździć po całej Polsce i dowiadywać się, co się dzieje. Informujcie nas najlepiej przed, a nie po fakcie – to ważne dla nas wszystkich.

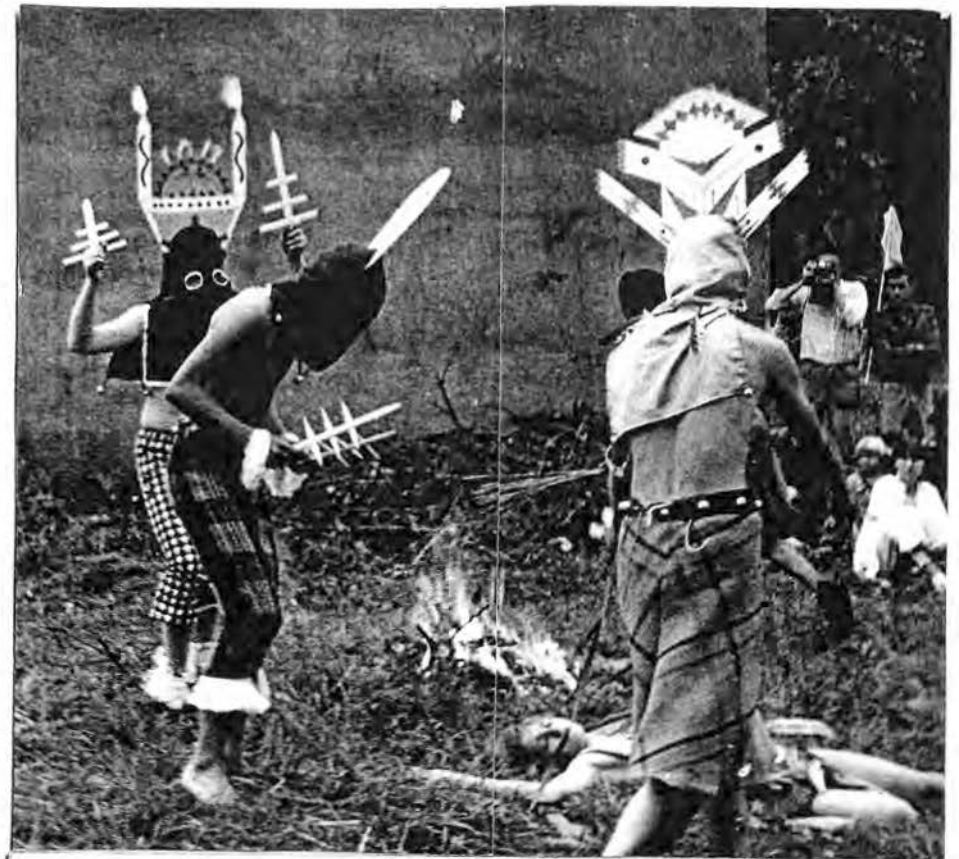
Tak jak to wspólnie ustaliliśmy w Pawłowie, przygotowujemy anglojęzyczny informator P&PI dla zagranicy. Nasi przyjaciele z wielu krajów chcą wiedzieć kim jesteśmy i co robimy. Chociaż w ten sposób chcemy im podziękować za okazywaną nam pomoc. I znowu liczymy na Was, na Waszą aktywność i współpracę.

Redakcja

**TAWACIN /w języku dakota „wiedza”, „mądrość”/  
- Przegląd Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian  
wydano na prawach rękopisu.**

Wydanie Lato-Jeśień 1986 przygotowali:  
Niedźwiedź, Skrzydlaty Cień i Wawoki'ya.

Dziękujemy Arkowi i Romkowi za nadesłane materiały.



## COYOTE — Punkt widzenia starca

COYOTE, Indianin Wylaiiki z Round Valley w Kalifornii jest tłumaczem tradycyjnej starszyny i tradycyjnych ludzi. Wywiad z nim przeprowadził Dagmar Thorpe dla Technology Research Project of Tribal Sovereignty Program.

### KIM JEST TRADYCYJNA TUBYLICZA OSOBA?

Przed laty tradycyjnym był bez wątpienia ten, kto utrzymywał nauki ludzi i prawie zawsze byli to przywódcy obrzędów lub ludzie ze stowarzyszeń. Gdy do różnych społeczności zaczęły przechodzić wartości emerykańskie, zjawia się potrzeba definicji. I tak „tradycyjni” zaczęli oznaczać ludzi, którzy są aktywni i podróżują po kraju, odnawiając i przywracając obrzędy i sztafasy pary; ludzi spotykających się ze starszą i wymieniających prorocтва. Ponadto byli to ci starzy ludzie, którzy pozostawali w domach i utrzymywali drogi, o których czuli, że były oryginalnymi instrukcjami. Ostatnio pojawiła się nowa definicja i powodują ona wiele zainteresowania i pytań. Wielu naszych biurokratów, kierujących organizacjami i całą resztą przez lata, jest obecnie identyfikowanych jako „tradycjonalisci”. Witamy ich z radością, ale powinno zostać jasno określone, jakie są ich cele i zamiary.

Nie można po prostu wziąć udziału w obrzędzie i mówić, że teraz jest się już tradycyjnym Indianinem. Nie wolno też po prostu uchwycić się języka i powiedzieć: „Teraz mam swój język i to czyni mnie tradycyjnym Indianinem.” Albo: „Mam swoją ziemię; oczywiście, wydzierżawiłem ją ARGO lub Shellowi, ale jestem Indianinem, bo mam swoją ziemię”. Jeżeli biurokraci twierdzą, że są tradycjonalistami, a jednocześnie nadal pracują dla rządu i innych biurokratycznych rzeczy, to nie jest to tradycyjne. Ale jeżeli wazną swoje doświadczenia i połączą je z tradycyjnymi wartościami, to wtedy mogą nam wskazywać nowe kierunki.

### JAKIE SĄ GŁÓWNE PODSTAWY TRADYCYJNEGO TUBYLICZEGO SPOŁECZEŃSTWA?

Główną podstawą jest zapewnić, aby wszyscy ludzie mieli opiekę, mieli dość pożywienia, schronienia i dość świeżej wody do picia. Ludzie odprawiają obrzędy, które wykazują ich wdzięczność za te rzeczy. Podstawą jest utrzymywanie szerokiej rodziny, utrzymywanie wszystkich swoich krewnych wokół siebie. Nie wysyłamy naszych starców do domów starców właśnie wtedy, gdy zdobyli wystarczające doświadczenia, aby naprawdę dać coś naszym dzieciom. Jeżeli starcy nie dają dość swojej wiedzy młodym, a my jako rodzice jesteśmy zbyt zajęci zaspokajaniem potrzeb, to wtedy dziecko idzie przez życie jako mała ślepa istota, odbijająca się o drzewa, budynki i wszystko inne. Nazywa się to „życiem ciężkich doświadczeń”. Dziecko nie ma nikogo starszego i idzie przez życie całe podrapane, bez przywódców.

Jeżeli będziemy mogli utrzymać razem nasze rodziny, możemy wiele oszczędzić naszym dzieciom, pokazując im właściwą ścieżkę. W ten sposób nasi starcy są dla nas zawsze ważni. Więc jeżeli zaczęliśmy odsyłać naszych starców, to będziemy także wysyłać nasze dzieci do ciemnego korytarza i mówić im: „Idźcie i coś znajdźcie”, nie mówiąc im, czego mają szukać. Idą tam, a my chcemy wiedzieć, dlaczego nigdy nie wracają do domu. Tymczasem one nawet nie widzą, gdzie jest ich dom.

Tradycyjna społeczność musi więc mieć dzieci, starców i mężczyzn do ochrony; kobiety do karmienia naszych ludzi; świętych — ludzi ze stowarzyszeń i naszych obrzędowych przywódców. Musi mieć środki do nakarmienia ludzi i musi być całością. Obecnie społeczności istnieją

już tylko w niewielu miejscach na tej ziemi. Zostały rozbite. To, co nazywamy społecznością jest dzisiaj po prostu grupą ludzi, sąsiedztwem. Nie jest to społeczność. W społeczności każdy ma odpowiedzialność i każdy ma głos, każdy pracuje razem dla tej społeczności, bo wszyscy są z jednej ludzkiej rodziny. Do indiańskich rezerwatów przybywa wielu ludzi w poszukiwaniu guru czy kogoś takiego, bo nigdy nie widzieli społeczności. Słyszeli, że dawniej istniały ludzkie społeczności i istniały dla ludzi, a nie dla państwa.

Musimy zacząć odbudowywać nasze społeczności, bo mamy wszystko, co jest do tego potrzebne — starców nauczycieli, obrzędy, nasze dzieci, kobiety i mężczyzn. Mamy wszystko, co jest potrzebne do zbudowania społeczności, ale nie mamy zbyt wielu społeczności, bo nie nauczyliśmy się, jak żyć. Uczyliśmy się tylko, jak pracować dla kogoś innego, dla państwa. Społeczność jest rzeczą bezcenną, o której wiedzą tylko nasi tradycyjni ludzie. Jeżeli odtąd pójdziecie na uniwersytety, to nie możecie się zapisać na filozofię i odkryć tam, jak żyć i jak kochać. To musi przyjść z doświadczenia. A jedynym sposobem na zdobycie tego doświadczenia są nasi starcy i naturalny świat.

### CZEGO Z TUBYLICZEJ PERSPEKTYWY BRAKUJE AMERYKAŃSKEMU SPOŁECZEŃSTWU?

Wszystkiego. Brak filozofii, brak trwałej formy rządu, brak religii. 200 lat to żaden czas na ukształtowanie narodu. Teraz jest on zaledwie dzieckiem. Nasze społeczności znają ten świat od dziesiątków tysięcy lat. Rzeczy, które robimy są wypróbowane i sprawdzone przez wiele tysięcy lat i są dobre. Oto dlaczego ich używamy. Akceptować wszystko, co mówią Amerykanie — to głupota. Mówią: „weź to lekarstwo, będzie dla ciebie dobre”. Później, za rok, usuwają to lekarstwo z rynku, bo powoduje raka. Połowę populacji traktują jak świnki morskie. Nie ma w tym żadnej stabilności.

Inną jego dużą słabością jest urbanizacja. Wszystkie polityki są robione w obszarach miejskich, nawet jeżeli są uzależnione od obszarów wiejskich jako źródła żywności, wody i energii. Wszyscy ludzie w Ameryce, czarni, czerwoni, biali, purpurowi czy jacykolwiek inni są tyni, którzy produkują to, co inni potrzebują do przetrwania. Oto skąd pochodzi żywność, woda, energia, zielone rzeczy, dobre powietrze — wszystko to pochodzi z wiejskich społeczności. Tymczasem wiejskich ludzi nie słucha się już od wielu pokoleń.

Ludzie żyją w miastach, które nie mają żadnych planów, miasta rozciągają swoje macki coraz dalej od chaosu, który same stworzyły. Jest to jak rozwój raka — coś nie do opanowania. Rozpowszechnia się w telewizji pociągające obrazki tego, jakie jest życie w Stanach Zjednoczonych i to przyciąga naszą młodzież. Są wspaniałe, wysoko płatne zawody, dobre wykształcenie, idź do tego kolezko, przyjedź tu i pracuj dla nas. Przyciąga się naszą siłą roboczą, naszą największą bogactwo — nasze dzieci. Zamiast wysyłać ich dzieci do nas i pokazywać im, aby uczyły się dobrych dróg, przyciągają nasze dzieci do siebie i potem wracują one załamane, zniszczone, jako zniekształcone istoty ludzkie. Takie wracają. Lub wracają bez rozumu.

### CZY URZĄDZENIA TECHNICZNE NARUSZAJĄ TRADYCYJNE TUBYLICZE PODSTAWY?

Telewizja — oglądanie telewizji to jednostronna rozmowa — nie można jej odpowiedzieć, nie można z nią wymyślić argumentów. Telewizja mówi coś niezależnie od tego, czy się z tym zgadzasz, czy nie. Trzeba się nad tym zastanowić, bo na całym świecie panuje raczej zgoda na to, aby patrzeć na rzeczy z różnych punktów widzenia, a nie na karmienie się całym pakietem informacji. Celem telewizji jest zajmowanie umysłów ludzi...



Jest wiele przykładów tej nieświadomej nauki /Przez telewizję/. Kilka lat temu były wielkie zamiecie śnieżne w Buffalo w stanie Nowy Jork. Wszystkich tych ludzi zasypał śnieg. Naturalny świat stworzył coś, co wszyscy przeklinali, nie mogli iść do pracy ani do szkoły, nie mogli nic robić - mogli tylko siedzieć w domach zaspanych śniegiem. Kiedy to się naprawdę stało, to ludzie dostawali mieszkaniowej gorączki, nie mogli być w domach zamknięci z własną rodziną. Nie wiedzieli, jak postępować z dziećmi. Nie wiedzieli, co powiedzieć do swoich żon, bo normalnie wychodzili rano z domu w ciągu 45 minut i nie wracali przed piątą, a potem włączali telewizor. Bez telewizji ludzie musieli się czymś zająć i nie wiedzieli, co robić. Więc zaczęli naciskać na gubernatora, na władze stanowe i burmistrza. Rząd ogłosił stan klęski żywiołowej i wezwał gwardię narodową. Przyjechała więc kawaleria na ratunek i gwardia narodowa zaczęła uwalniać tych wszystkich ludzi od straszliwego śniegu. Dzieci myślały sobie teraz jaki zły jest ten śnieg, jaki jest niebezpieczny. Śnieg padał w Buffalo przez całe zimy od początku czasów. Ale ci ludzie oddzielają się jakoś coraz bardziej od naturalnego świata. Było to w ogólnokrajowej telewizji, ludzie w całym kraju widzieli, jaki śnieg jest zły. Ciekawe, dlaczego nie oskarżyli śniegu o zdradę? To śmieszne, co nieświadomie mówimy naszym dzieciom. Przecież zawsze padało. Potrzebujemy śniegu dla żywności i wody. Kiedy przestaje padać, wtedy powinniśmy się martwić.

Telewizja podejmuje za nas wiele decyzji i myśli za ludzi. Łatwiej jest siedzieć tutaj i czekać na prognozę pogody, niż zrobić po prostu krok na zewątrz i zobaczyć, jaka jest pogoda. To już całe pokolenie ludzi zapomina jak patrzeć i odczytywać pogodę. Mamy książki, telewizję, nigdy nie musimy niczego pamiętać.

Komputery - sztuczna inteligencja znowu wraca do całej koncepcji kontroli, warunkując umysły ludzi, tak, aby mogli być kontrolowani. Każdy z nas urodził się z komputerem, z prawdziwym komputerem. Umysł ma wszystko, co jest potrzebne, żeby wiedzieć, możemy magazynować olbrzymie zasoby wiedzy. Wszystkie rośliny, drzewa, wschody i zachody słońca, wszystkie burze, wiatry, marza, przyplify łosiosa - każde z tych wydarzeń porusza i ożywia bank pamięci, który w swojej istocie jest komputerem. Stwórca dał nam jeden mózg, więc po co tworzyć drugi, jeżeli jeden już się ma? Nie można do tego komputera włożyć czegoś, czego już ktoś nie wymyślił. Ale jest to sposób kontroli. Jeżeli nikt nie pamięta, tylko maszyny, to wtedy maszyny stają się bogami.

Weźmy mowę. Mnie mowa pomaga pamiętać. Jeleni, łososi, żółędzie - wszystko to pomaga mi pamiętać, wiedzieć, jakie jest moje zadanie, po co zostałem tu przysłany. Każdej ludzkiej istocie dano pakiet informacji, dano obowiązek. I jest on przekazywany dzięki naszej pamięci, to jest nasz komputer - nasza pamięć. Jest jak aparat fotograficzny, jak magnetofon itp. Może ujrzeć moją ojczyznę, nawet jeżeli jestem od niej o tysiące mil. Byłem tu, nad rzeką na wiosnę i wczesnym latem, byłem tu wiele razy. Wiem dokładnie, co tutaj rośnie. Mogę zobaczyć moje miejsce. Wiem jak wygląda wiosna w czerwcu, bo jej obraz zapisał się w mojej pamięci.

Rozwijanie umysłu nie czyni nikogo niezwykłą osobą. Jest to coś, co Stwórca dał każdemu. Kiedy nasi starzy ludzie mówią o byciu jednej myśli, to myślimy o tych rzeczach, które są dla nas ważne. Jest tak, bo był kiedyś czas, kiedy ludzie mśleli razem. Niektórzy z nich ciągle to potrafią i to niepokoi innych ludzi. Ale to oznacza bycie normalnym człowiekiem - rzecz tak rzadka obecnie. Można znać pewne zioła i iść do domu, w którym jest chore dziecko. I znać tylko to jedno zioło. Po prostu dzięki zbiegowi okoliczności to zioło okazuje się tym, którego to dziecko właśnie potrzebuje. Dziś w takim czasie i mentalności, ludzie zaczynają nagle patrzeć na ciebie jak na człowieka leczącego. A kiedyś w naszych społecznościach wszyscy znali zioła i praktykowali medycynę zapobiegawczą. Innymi słowy, opiekowanie się

sobą było stałym zajęciem. Teraz tylko niewielu ludzi używa ziół i wszyscy nazywają ich lekarzami. Kilka lat temu byli zwykłymi ludźmi. Wartości się zmieniają. Kiedy mniej używamy naszych mózgów, to stajemy się bardziej uzależnieni od sztucznych rodzajów wiedzy.

#### CO PRZYNIESIE INDIANOM PRZYSZŁOŚĆ NA DŁUŻSZĄ METĘ?

Pomyśl o tych dziesiątkach tysięcy lat, przez które byliśmy tutaj, zanim jeszcze wylądowali Europejczycy. Mielibyśmy dobry system wychowawczy, wypróbowany i sprawdzony. On działał. Nie ma powodu, dla którego nie mogłoby tak być przez następne sto tysięcy lat. Wszystko jest tutaj. Wszystko, co musimy zrobić, to podnieść to i używać, jeżeli mamy przetrwać jako naród. Niektórzy z naszych młodych ludzi już podnoszą zawiniątka i wiemy, że będzie ich trochę przez parę następnych pokoleń. Wygląda to dobrze.

Zawyczał noszę stare, połatanne levisy. Ktoś patrzy na moją kurtkę, całą połataną i z powypychanymi łokciami i może mu być mnie żal. Ktoś odejdzie i następną razem przyjdzie z paczką, z nową kurtką. Wezmę ją i będę nosił przez cały czas, dopóki ten ktoś jest. I on czuje się dobrze, bo ja to noszę. Zdejmuję ją, kiedy tylko odchodzi. Zdejmuję tę kurtkę i wieszam ją w szafie. Kiedy widzę, że nadchodzi - biegnę i biorę tę kurtkę, żeby był zadowolony. Dużo łowię i kiedy piyną łosiosie, to zostają nad rzeką przy ognisku. Układam się plecami do ognia. Jeżeli będą skakać iskry i spadną na moją bawełnianą kurtkę, to mogą w niej wypalić dziurę. Ale wtedy podskakuję, wycieram ją rękawem i kładę się znowu spać. Jest mi wygodnie w moim starym ubraniu. Gdybym leżał przy ogniu w kurtce z tego nowego syntetycznego materiału i spadła by iskra, adgiłbym spłonąć. Więc ta stara kurtka oglądała mnie przez wiele zim i jest mi w niej wygodnie. Nie chodzi o to, że nie lubię tego, co robią wszyscy inni, tylko po prostu o to, że czuję się lepiej w mojej starej kurtce. Ale wtedy każdy przychodzi i proponuje mi nowe buty lub nową kurtkę. Wiele razy chcesz być miły i uprzejmy, więc przyjmujesz te rzeczy, ale musisz być odtroźny. Stara kurtka została wypróbowana i sprawdzona jak twoja kultura. Te nowe są jak Stany Zjednoczone, które mają dopiero 200 lat i nie zostały jeszcze sprawdzone.

#### CO WAŻNEGO POWINNI WIEDZIEĆ I W CO WIERZYĆ MŁODZI INDIANIE?

Młodzi Indianie powinni wierzyć w siebie, wiedzieć kim są i decydować o sobie. Istnieje pokusa dobrze płatnego stanowiska i nie ma w tym nic złego, dopóki pozostaje się w kontakcie ze swoimi ludźmi i troszczy się o nich. Inaczej mówiąc - opuszcza się swoich ludzi i zostawia się ich do czasu, aż się samemu zestarzeje, wraca się złamanym i chce się znowu zostać członkiem społeczności, tak jak to się dzieje z wieloma naszymi ludźmi. Jest taki żart w moim rezerwacie: jak stare psy wracają, by umrzeć. Odchodzą, aż się zestarzeją i nie wkładają się w swoje społeczności. Wracają i żyją tam swoim życiem i umierają. Są tam mile widziani, a ich powrotu oczekuje się. Dobrze jest ich widzieć. Nie mamy takich atrakcji w naszych rezerwatach. Musimy zaakceptować fakt, że będziemy tracić część naszych najważniejszych umysłów.

Największy i najważniejszy drenaż zasobów to nasi ludzie. Zawsze mówimy im, jeżeli chcecie iść w świat, to róbcie to dobrze. Przyniescie sławę sobie i swojemu ludowi. Nie idźcie i nie róbcie czegoś półgębkiem. To źle się odbija na reszcie z nas.

Nasi młodzi ludzie mogą iść w dziedzinę technologii. Jeżeli wyrosną z dobrym poczuciem wiedzy, kim są i wiedząc, czym jest społeczność, to mogą iść w świat technologii i nie zagubić się. Będą się zawsze dobrze prowadzić. Mija już prawie 30 lat odkąd poszedłem do wojska. Kiedy tylko odkryli, że jestem Indianinem, to zaczęli ocze-

kiwać ode mnie wielu dobrych rzeczy, bo przede mną było tam wielu cholernie dobrych Indian. Gdziekolwiek nie pójdziecie, był tam już ktoś przed wami. Tak jak zareagujecie, tak będziecie akceptowani. Nie ma nic poza honorem dla naszych ludzi z powodu tego, co działo się przed nami. Dokądkolwiek w świat byście nie poszli, przyniesiecie dumę sobie i waszym ludziom.

Nie możemy mówić naszym dzieciom, co powinny robić. Nie mogę tego powiedzieć nawet swoim własnym dzieciom, bo tego nie wiem. Wszystko, co możemy, to podnieść je, gdy upadną i uderzą się, usunąć ból i opowiedzieć o czymś innym, zapewnić, by miały dość żywności, miejsce i imię w społeczeństwie. Mój syn zacznie pewnie tańczyć tej jesieni, będzie miał pięć lat. Nadszedł czas, by zajął swoje miejsce wśród mężczyzn w obrzędach. To wszystko, co możemy zrobić, zapewnić start. To, co chce zrobić, to jego sprawa. Dopóki czują się dobrze ze sobą, to zrobiliśmy wszystko, co powinniśmy.

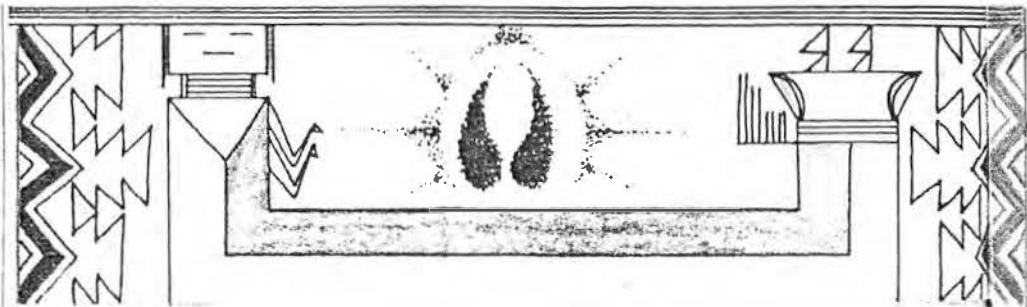
Jest wiele rzeczy, które chcemy powiedzieć naszym młodym ludziom, ale potem powinno je to prowadzić, bo jest milej odkrywać rzeczy samemu. Kiedy powiemy im już wszystko, nie będzie niespodzianek. Życie byłoby dość nudne. Ale ciągle jest coś za rogiem.

Był taki stary mężczyzna, którego nie ma już wśród nas. Mógł o czymś opowiedzieć, o jakimś miejscu, w którym byliśmy wiele razy i którego obrazu mamy w naszych umysłach. Mógł nam powiedzieć, co nasi ludzie robili w tym miejscu trzy pokolenia temu i my moglibyśmy to zobaczyć. Mógłby powiedzieć: „Chciałbym zobaczyć, co jest po tamtej stronie tej góry”. A później siedzieć jakby zasnął. Więc idziesz i wspinasz się na szczyt, siadasz tam i studiujesz wszystko szczegółowo. Patrzysz na wszystko z bliska, zapisujesz wszystko w pamięci. Później wracasz.

Następnym razem, gdy zobaczysz starego mężczyznę, mówisz: „Pewnego dnia wszedłem tam, na szczyt góry”. Stary mężczyzna siedzi z błyszczącymi oczyma, znowu chce zobaczyć, co tam jest. I zapyta: „Czy stare drzewo ciągle stoi przy tej skale?”, a ty odpowiesz, że tak. Jest zbyt stary, żeby kiedykolwiek się jeszcze tam dostać, ale dzięki młodym ludziom znowu może tam pójść. Ludziom z dobrymi umiejętnościami, z dobrą pamięcią.

Takie właśnie rzeczy możemy robić dla naszych starców. Możemy wracać i opowiadać im. Mogli to widzieć tysiące razy, ale jest to po prostu jak jeszcze jedne odwiedziny. Zwyczajne siedzenie i rozmawianie tak jak teraz, przynosi starcom szczęście.

Przetłumaczył Marek Nowocień  
- marzec 1985-



# Zagrozenie ciągle trwa...

„Nigdy nie zaakceptujemy tej ustawy. Nigdy nie ruszymy się z naszej ziemi. Takie jest stanowisko naszych tradycjonalistów. Ustawa nie jest sposobem na życie. Ona tylko nas zniszczy”.

Paul Sewemaenewa, religijny przywódca Hopiów

Od setek lat Indianie Navajo i Hopi mieszkali razem jako sąsiedzi na wysoko położonym pustynnym obszarze otaczającym górę Big Mountain w północnej Arizonie. Dziś tysiące z nich walczy o zachowanie swej ziemi i kultury. Powstali przeciwko rządowi amerykańskiemu, kompaniom energetycznym, pro-rządowym radom plemiennym i kościołowi Mormonów. Walka dotyczy rządowej ustawy o przesiedleniu /tzw. Navajo-Hopi Indian Land Settlement Act, P.L. 93-531 z 1974 r./, która przewiduje wysiedlenie 18 tys. Indian Navajo i Hopi z ich własnych domów.

Ustawa o przesiedleniu zaprojektowana została jako rozwiązanie tzw. „problemu ziemskiego” pomiędzy obu plemionami. Sugerowano, iż pomiędzy rodzinami obu plemion zamieszkującym Obszar Wspólnego Użytkowania /JUA/ dochodzi do konfliktów i sporów. W rzeczywistości problemem dla władz była - i jest nadal - wspólna walka tradycjonalistów obu plemion przeciwstawiających się rozwojowi energetycznemu i radom plemiennym popierającym inwestycje białych w rezerwacie.

Nie oznacza to jednak, że Indianie występują przeciwko rozwojowi energetycznemu w swym rezerwacie, ale przeciwko rabunkowej gospodarce prowadzonej przez białych na terenie rezerwatu, którego pustynne tereny kryją pod kilkumetrową warstwą ziemi bogate złoża surowców energetycznych. Obliczono, że na Obszarze Wspólnego Użytkowania znajduje się ok. 21 bilionów ton łatwo dostępnego węgla, uranu, gazu ziemnego i ropy.

Już na początku lat 60-tych spółka Peabody Coal Company wydzierzała na 35 lat tereny wokół Czarnej Masy, obecnie największej na świecie kopalni odkrywkowej. Codziennie wydobywa się tam setki ton węgla, który Kompania sprzedaje po 50 dolarów za tonę, zaś Indianie otrzymują tylko 25 centów ze sprzedaży tej tony. Podobnie rzecz ma się i z wodą. Na minutę wypompowuje się z rezerwatu, i tak już cierpiącego na niedostatek wody, ponad 12 tys. litrów tej cieczy, którą zużywa się do transportowania węgla z odkrywki do elektrowni. Jakby na ironię, energia elektryczna wyprodukowana z węgla wydobytego z indiańskiej ziemi i transportowanego indiańską wodą, trafia z elektrowni do mieszkań i fabryk w Phoenix, Las Vegas i Los Angeles, podczas gdy ludzie z Obszaru Wspólnego Użytkowania ciągle żyją bez elektryczności!

I nic dziwnego, że przy tak dogodnych warunkach handlowych, Peabody Coal Company używa wszelkich swych wpływów /finansowych rzecz jasna również/, aby ustawa o przesiedleniu została przeprowadzona, bez względu na następstwa i koszty: pierwotnie zakładano wysiedlenie 3300 Indian, obecnie zaś ich liczba wzrosła do ok. 18 tys., co automatycznie podniosło też koszty całego projektu: z 37 mln. dolarów do 2 bilionów.

Na przeszkodzie stoją jednak tradycyjni Indianie, dla których ziemia jest ciągle w centrum ich religii i kultury. „Wierzymy, że Święte Duchy ciągle są na tym obszarze i dlatego nie chcemy oddać ziemi - powiedziała jedna Indianka. - Nie chcemy, aby wydobywano węgiel z naszej Matki Ziemi. Jest on przecież częścią jej ciała”.

Inna Indianka Navajo, Mae Wilson Iso, matka dziesięciorga dzieci zatroskana o przyszłość swej rodziny powiedziała: „Jest to /ustawa o przesiedleniu - MM/ niezwykle silne. Na próżno ataraliśmy się, bo wszystko wskazuje na to, że zapomina się o nas. Czas dopełnił się i przemienił w głębię i głód. Zauważyłem, że mój dom rozpada się i stajemy się biedni. Sprzedaliśmy

zwierzęta i widzę, że źle jest bez nich. Człowiek czuje się samotny. Ziemia została podzielona bez zastanowienia się nad tym, jak to może nas zranić, ludzi o pięciu palcach u każdej ręki i nogi. Waszyngton był głupi. Można to przyrównać do sposobu traktowania owiec, kiedy odziera się te, które mają być sprzedane.

Kilku ludzi poraniło się wzajemnie pod wpływem alkoholu. Są biedni i opłakujemy ich. Oto czym się to dla nas staje. Martwię się, tym i nie mogę spać w nocy. Złe się czuję. Kilku już całkiem straciło nadzieję. Takie są powody depresji. Jedynie jak postanowię sobie mocno, że zostanę tu, czuję się dobrze. Jak zbijają mnie do nieprzytomności albo uspię, to wtedy zabiorą mnie tam, gdzie niby mamy się udać. Ale nie będzie to moja wola i jak tylko się zbudzę, wstanę i wrócę tutaj...”

Sprawa zyskała światowy rozgłos dzięki różnym grupom i organizacjom /np. Big Mountain Legal Defense/Offense Committee/, które apelowały do ludzi dobrej woli na całym świecie, aby przysłali z pomocą Turbylczom Amerykanom w ich walce o prawo do życia na własnej ziemi. Przeprowadzano pikety i demonstracje przed urzędami i wysyłano petycje do Kongresu USA i senatorów, domagając się powstrzymania wysiedlenia ludzi z ich domów przy zastosowaniu metod przypominających eksterminację Indian z ubiegłego wieku, jako czynu niehumanitarnego i gwałtującego Deklarację Praw Człowieka.

Ostatecznie, termin przesiedlenia kilkunastu tysięcy Indian ustalony pierwotnie na 7 lipca br. przesunięto o rok. Jednak postępowe grupy na całym świecie nie przerywają swaj pracy, bo zagrożenie ciągle trwa...

Marek Maciołek

## Prawa człowieka...

### ...I PRAKTYKA USA

Najpierw sugowano ich z urodzajnych ziem rolniczych, aby mogli je objąć biali farmerzy. Później zorganizowano dla nich tak zwane rezerwy w opuszczonych przez Boga i ludzi terenach. Gdzie do dziś pędzą żywot skończonych no powołne wymarci grup etnicznych.

Wiadomo o kogo chodzi. O czernonoskórych, czyli Indian w Stanach Zjednoczonych. Wiadomo również, że liczne rezerwy są obecnie zagrożone. Ich mieszkańcom grozi kolejne wysiedlenie. Chciał lepiej byłoby powiedzieć: wypędzenie. Dokąd?

Taki las czeka niechybnie Indian szczepu Navajo zamieszkujących rezerwy w Górach Skalistych w stanie Arizona. Odkryto tam bowiem złoża uranu, ropy naftowej, węgla.

Jeden z aktywnych bojowników o prawa obywatelskie w Stanach

Zjednoczonych, pastor Ben Chavis wezwał do akcji solidarności z Indianami. Stwierdził w swym apelu: „Wiemy, że Stany Zjednoczone kontynuują historię łapania przyrzeczeń i ludobójstwa na Indianach. Dlatego musimy być razem z Indianami z Gór Skalistych, potomkami rdzennej ludności naszej ziemi...”

Pytanie tylko: czy apel ten i starania obrońców praw obywatelskich uchronią Indian Navajo przed exodusem? Można wątpić. Choć władze Stanów Zjednoczonych mówią tak wiele o wolności, swobodach itp.



To stara Indianka ze szczepu Navajo postanowiła, że żywa nie opuści swego domu.



Znany obrońca - Indianie przypominają przed Kapitałem, że są również obywatelami Stanów Zjednoczonych.



# LEONARD PELTIER — jestem nimi zachwycony

12 września tego roku w jednoosobowej celi sektora C w więzieniu Leavenworth w stanie Kansas więzień nr 89637-132 po raz dziesiąty z kolei obchodził ze murami swoje - 42 już - urodziny.

Wiosną 1977 roku uznano go winnym śmierci dwóch agentów FBI, którzy zginęli w spowodowanej przez siebie strzelaninie w rezerwacie Pine Ridge /26 czerwca 1975 r./. Zanim osadzono go w najcięższym amerykańskim więzieniu w Marion, w swoim ostatnim słowie powiedział: „To nie ja jestem winny. Nie mnie powinno się nazywać przestępcą - to biała rasistowska Ameryka jest przestępcą, bo niszczy nasze ziemie i mój lud. Aby ukryć waszą winę przed uczciwymi ludźmi w Ameryce i na świecie, skazacie mnie bez wahania na dwa kolejne wyroki dożywotnieś więzienia”.

Od tamtej pory Leonard Peltier - przywódca Ruchu Indian Amerykańskich /AIM/ i bojownik o prawa tubylczych Amerykanów - stał się najsławniejszym więźniem politycznym w Stanach Zjednoczonych. Jego uwolnienia domagają się już nie tylko prawnicy i Indianie w USA, ale ludzie i organizacje wielu krajów świata. Przed rokiem w tę wielką międzynarodową akcję solidarności z Leonardem włączyły się miliony młodych ludzi ze Związku Radzieckiego.

12 listopada 1985 roku gazeta „Komsomolskaja Prawda” opublikowała list radzieckich organizacji młodzieżowych do prezydenta Reagana oraz pocztówkę z dwujęzycznym apelem o uwolnienie Leonarda Peltiera. Wyszła z niej kopia i - po złożeniu podpisu - wysłać pod adresem Białego Domu, zawiadamiając o tym redakcję gazety. Po dziesięciu dniach takich podpisów było już 200 tys., a 4 grudnia, kiedy to kartkę opublikowano po raz drugi - 1,5 miliona.

Powiadomiony o akcji radzieckiej młodzieży Leonard w telefonicznym wywiadzie dla korespondenta TASS w Waszyngtonie powiedział: „Przekażcie, że jestem nimi zachwycony. Według mnie i innych indiańskich przywódców taka kampania masowego protestu może wpłynąć na nasze władze i zmusić je do rozpatrzenia mojej, sfabrykowanej przez policję i FBI, sprawy ponownie, a także uwolnić innych niewinnych więźniów politycznych”.

## СВОБОДУ Л. ПЕЛТИЕРУ!



● от имени 42-миллионного Ленинского комсомола, 20 миллионов советских пионеров, всей молодежи Страны Советов и 13 миллионов читателей «Комсомольской правды» требуем немедленно освободить борца за права американских индейцев Леонарда Пелтиера!

W „Komsomolskiej Prawdzie” niemal codziennie ukazywały się listy i telegramy od czytelników informujących o przyłączeniu się do akcji, a także wiadomości o Leonardzie i artykuły o sytuacji amerykańskich Indian. Gazeta pisała o Julii Gulajewej z Leningradu, od ponad roku korespondującej z Leonardem i o studiującej w Moskwie Inez Röder z popierającą walkę Peltiera berlińskiej grupy „Indianer Heute”.

12 grudnia, w miesiąc po rozpoczęciu akcji, trzeci raz opublikowano kartkę z apelem. Do tego momentu podpisały się pod nią ponad trzy miliony młodych obywateli ZSRR. Do 7 stycznia uczyniła to kolejna dziesięć milionów ludzi.

„Nie da się wyrazić słowami moich uczuć w stosunku do nich” - powiedział Leonard w noworocznej rozmowie telefonicznej z radzieckim korespondentem w USA. „Przed wszystkim chciałbym powiedzieć, że dostaję teraz wiele listów od dzieci i młodzieży ze Związku Radzieckiego. Przychodzą też do mnie listy od młodych mieszkańców POISKI, Kanady, Holandii i innych krajów. To całkowicie zaprzeczają oświadczeniom władz USA, jakoby kampania poparcia dla mnie była prowadzona tylko w ZSRR i to ze względów czysto politycznych. Tym wszystkim, którzy do mnie piszą, chciałbym powiedzieć: to, że nie jest wam obojętny los wszystkich prześladowanych i uciskanych w USA, dodaje nowych sił takim jak ja”.

7 stycznia 1986 r., gdy po raz czwarty opublikowano pocztówkę do Reagana, przybyła do Moskwy 3-osobowa delegacja Komitetu Obrony Leonarda Peltiera /LPDC/. Stefania Autumn-Peltier, żona Leonarda, John Privitera, jeden z jego obrońców i Bill Wahpepah, przedstawiciel Międzynarodowej Rady Indiańskich Traktatów /IITC/ w Komisji Praw Człowieka ONZ przyjechali na zaproszenie Radzieckiego Komitetu Obrońców Pokoju. Podczas wizyty w ZSRR indiańscy goście spotkali się z młodzieżą w redakcji „Komsomolskiej Prawdy” i w Moskiewskim Pałacu Pionierów. Rozmawiali też z radzieckimi obrońcami pokoju, kierownictwem Stowarzyszenia Prawników Radzieckich i naukowcami z Instytutu Etnografii Akademii Nauk ZSRR. W Moskwie, Jerewanu i Leningradzie uczestniczyli w spotkaniach z uczniami i studentami, w robotniczych wiecach w zakładach pracy i w konferencjach prasowych.

„Międzynarodowa akcja solidarności, mająca miejsce obecnie, tworzy w nas nowe nadzieje, ponieważ u nas w kraju, w USA, walka Indian o swoje prawa otoczona jest „zmową milczenia”. Dlatego wypełnia nas wdzięczność dla milionów radzieckich ludzi, którzy złożyli swoje podpisy pod żądaniem uwolnienia Leonarda. Gdyby te dwanaście milionów podpisów zebrano w naszym kraju, to Leonard Peltier byłby już wolny” - powiedział m.in. Bill Wahpepah, a Stefania Autumn-Peltier wyjaśniła, że tylko dzięki międzynarodowej akcji udało się wywalczyć przeniesienie Leonarda z izolówki w Springfield do Leavenworth, gdzie umożliwiono mu spacer, spotkania z rodziną i współwięźniami.

Zanim goście z Komitetu Obrony Leonarda Peltiera opuścili Związek Radziecki poinformowano ich, że liczba podpisów pod apelem o uwolnienie Leonarda osiągnęła 17 milionów.

„Przyjęcie było bardzo ciepłe, a interesująca podróż zawiązała tak bardzo potrzebny dialog” - powiedział później John Privitera. „Opowiedzieliśmy naszym radzieckim przyjacielom o strategii walki AIM o uwolnienie Leonarda, wysłuchaliśmy rad i życzeń. Nasza podróż do ZSRR pokazała, jak szerokie jest międzynarodowe poparcie dla walki politycznych Amerykanów o uwolnienie Peltiera i innych więźniów politycznych”.

Marek Nowocień

Komplet informacji na temat akcji „Komsomolskiej Prawdy” oraz wizyty indiańskiej delegacji w ZSRR przekazał do Polski Bogdan Jachwak, radziecki „indianista” z Użgorodu. Zaproponował on, abyśmy podobną akcję zorganizowali w naszym kraju. Co Wy na to?

# Z KRAJU INDIAN

## Ameryka Południowa

### Ameryka Północna

**WŁOCHY.** 27 października Międzynarodowego Roku Pokoju w Asyżu - miście św. Franciszka - przywódcy religijni tradycjonalistów Indian, wspólnie z przedstawicielami kilkudziesięciu innych grup religijnych, uczestniczyli w roczystościach Światowego Dnia Modlitwy o Pokój. Tego dnia miliony ludzi z różnych wyznań modlili się, pościły i pokutowały w intencji pokoju na Ziemi, a prawie wszystkie walczące kraje i ugrupowania odpowiedziały /pierwszy raz w historii/ na apel Papieża Jana Pawła II o zawieszenie broni.

**LEONARD FELTIER.** 11 września br. trzech sędziów Sądu Apelacyjnego 8 Okręgu w Saint Louis, po zapoznaniu się z dowodami niewinności i argumentami przedstawionymi przez obrońców, odrzuciło wniosek o przyznanie Leonardowi nowego procesu. Obrońcy ubiegają się obecnie o zmianę tej niekorzystnej decyzji przez Sąd Apelacyjny w pełnym składzie, nadal prosząc o listy i petycje w tej sprawie.

Robert Standing Bear Wilson, współtowarzysz walki Leonarda za mami, od dłuższego czasu nie opuszczający wóka inwalidkiego zosała w końcu uwolniony z więzienia.

**KANADA.** Zimowe Igrzyska Olimpijskie 1988 r. odbędą się w Calgary, w południowej Albercie. Są to tradycyjne tereny niewielkiej wspólnoty Lubicon, odłamu Indian Kri. Od lat pięćdziesiątych na ziemiach Indian Lubicon, mimo ich protestów, prowadzone jest wydobywanie ropy naftowej, co powoduje znaczne szkody w środowisku oraz pozbawienie Indian podstawowych źródeł utrzymania. Precedens James Bay /wysokie odszkodowania przyznane w 1975 r. Indianom Kri za zaniechanie ich ziem podczas budowy systemu zbiorników i elektrowni wodnych/ dał społeczności Lubicon nadzieję, że przy pomocy wspierającej tubylców Światowej Rady Kościołów uda się zawrzeć korzystne porozumienie. Jednak Olimpiada w Calgary miałaby negatywne skutki dla ich walki. W kwietniu 1986 r. europejskie grupy poparcia na spotkaniu w Luksemburgu jednoznacznie poparły walkę Narodu Lubicon Lake Kri o prawo do ziemi. Jednocześnie wódz Indian Lubicon, Bernard Ominayak wezwał do bojkotu Olimpiady w Calgary, do Europy wyruszyła specjalna indiańska delegacja, a europejskie grupy poparcia podjęły działalność informacyjną i protestacyjną.

**BIG MOUNTAIN.** 7 lipca 1986 r. upłynął kolejny „ostatni termin” podziału wspólnych dotąd ziem Hopiów i Nawahów i przesiedlenia Indian. Przewodniczący Rady Plemiennej Hopiów, Ivan Sidney potwierdził prawo do zarządzania częścią ziem należących do Hopiów i wezwał przewodniczącego Rady Plemiennej Nawahów, Petersona Zahna do zrealizowania planu usunięcia Nawahów z ziem należących do Hopiów. Roger Boyd, przedstawiciel Nawahów, stwierdził, że za przesiedlenie Nawahów odpowiedzialne są władze federalne. „Plemię Nawahów nigdy nie było za przesiedlenie. Pan Sidney musi zrozumieć, że prawo to narzucił nam rząd federalny”.

7 lipca ponad trzysta osób udało się pod osławiony płot z drutu kolczastego i po modlitwie za ziemię i ludzi usunąć półmiliony jego odcięte i wykopało słupy. Akcji przewodziło siedemdziesięciu pięciu weteranów wojennych Nawahów i starsze kobiety z Big Mountain niosące flagi amerykańskie odwrócone w „tytuł AIM”.

Parlament Europejski uchwalił rezolucję potępiającą wysiedlenie Nawahów, a jego przedstawiciele wręczyli ją władzom amerykańskim. Również Afrykański Kongres Narodowy z RPA przesłał deklarację najgłębszej solidarności z Ludźmi z Big Mountain”.

Mimo odroczenia sprawy przesiedlenia o rok trwa przesładowanie i zastraszanie tradycyjnych Nawahów i Hopiów, przeciwnych całemu projektowi.

**BRAZYLIA.** Indianie Nambiquara wiele wycierpieli z powodu ekspansji hodowców bydła, drwali i osadników ze stanu Rondonia. W latach 70-tych, usunięci ze swoich wiosek, wędrowali głodni i chorzy wzdłuż powstającej drogi BR-364. W 1979 roku, po zakończeniu budowy, potok osadników i apekulantów zamienił się w powódź. Brak odpowiadającej ochrony indiańskich terenów zagraża tradycyjnemu sposobowi życia wszystkich tubylczych grup Rondonii. Tylko w ubiegłym roku do tego stanu przybyło ponad 200 tysięcy ludzi.

We wrześniu 1985 r. Związek Indiańskich Narodów /UNI/ zorganizował w Cocal przy pomocy Indiańskiej Rady Misyjnej /CIMI/ pierwsze Spotkanie Indiańskich Ludów Rondonii. Choć wiele reprezentowanych tam grup /Surui, Cinta La ga, Pacaa Nova, Kaiabi, Gavião, Pareci, Maquens i Nambiquara/ dopiero przed paru laty zetknęło się z nie-indiańskim społeczeństwem, to wszyscy zgodzili się, że niezbędne jest zjednoczenie wysiłków w walce o samookreślenie, ziemię i przetrwanie.

**CHILE.** Na początku czerwca odbyło się zgromadzenie trzech głównych organizacji Mapuców /Araukonów/ - Centros Culturales Mapuches, AD-Mapu i Mehuen-Mapu. Za wspólne cele uznano dążenie do przywrócenia w kraju demokracji i zjednoczenie Mapuców w jednej organizacji. Zebrani zażądali natychmiastowego odwołania ustaw 2568 i 2750, likwidujących komunalną własność indiańskich ziem i przywrócenia ustawy 17.729 sprzed 1973 r., która sprzyjała rozwojowi tubylczych ziem Indianie domagali się też zwrotu wszystkich ziem odebranych indiańskim społecznościom, odrodzenia Instytutu Indiańskiego pod tubylczą kontrolą, opracowania nowej konstytucji kraju, przyznającej Mapuczoa prawo do samostanowienia i chroniącej ich ziemię i bogactwa naturalne oraz uznania przez państwo tradycyjnych form organizacji społecznej i tubylczych władz.

**KOLUMBIA.** W lutym 1986 r. Narodowa Organizacja Indian Kolumbii /ONIC/ zorganizowała II Krajowy Kongres Indiański. Ponad 500 reprezentantów półmilionowej społeczności Indian kolumbijskich oceniło działalność organizacji i aktualną sytuację tubylczych społeczności.

Wnioski ze spotkania, opublikowane w wydawanej przez ONIC gazecie „United Indigena” dotyczyły między innymi:

- walki o powiększenie indiańskich rezerwatów i przestrzeganie ich praw chroniących autonomię tubylczych społeczności /m.in. dekretu 1142/;
- tworzenia własnych projektów rozwoju i wykorzystaniu posiadanych bogactw z pożytkiem dla tubylczych społeczności;
- poszukiwania sposobów łączenia medycyny zachodniej i tradycyjnej medycyny indiańskiej;
- szerszej współpracy z innymi organizacjami ludowymi.

Pomimo trudnej sytuacji Indian w Kolumbii, spowodowanej niestabilną inwazją na ich ziemię, obecnością nie-indiańskich organizacji religijnych i niebezpieczeństwem uwikłania się w konfrontację między wojskami rządowymi i grupami partyzanckimi /np. M-19/, II Krajowy Kongres Indiański umocnił jedność Indian i ich dążenie do życia z własnej ziemi, „z naszych własnych rąk, z naszymi własnymi rodzicami i dziećmi, w pokoju, który w naszych społecznościach był zawsze obecny”.

**EKWADOR.** Konferencja Indiańska Narodów Ekwadorskiej Amazonii oskarżyła zachodnie koncerny o wdzieranie się /za cichą zgodą rządu/ na tradycyjne indiańskie tereny. „Możemy udowodnić, że wszystkie te ponadnarodowe korporacje działają wspólnie. Koncerny naftowe budują drogi, po nich przychodzą przedsiębiorcy eksploatujący łańcuch afrykański, wycinający lasy i handlujący drewnem”. Z Indianami nikt się nie liczy.



## The Seventh Generation Fund

VICTORIA BOMBERRY oraz jej zmarły w ubiegłym roku mąż, Dan, należeli do współzałożycieli THE SEVENTH GENERATION FUND - Fundacji Siódmego Pokolenia. Victoria jest także wydawcą czasopisma „NATIVE SELF-SUFFICIENCY” /Tubylcza Samowystarczalność/. Wywiad z nią opublikował „SAIIC Newsletter” 4/2.

SAIIC: Czy mogłabyś nam opowiedzieć o Fundacji Siódmego Pokolenia? Co jest podstawą waszej pracy?

VB: Fundacja Siódmego Pokolenia została założona w 1977 r. przez grupę działaczy zainteresowanych odejściem od czysto retorycznego mówienia o suwerenności w kierunku jej urzeczywistnienia. Aby to uczynić, trzeba było wyraźnie określić wiele rzeczy. Ludzie mieli już pewne pojęcie o suwerenności, a my zaczęliśmy działać we wszystkich obszarach, które czynią ludzi suwerennymi. Aby być suwerennym, naród potrzebuje systemu ekonomicznego. Musi mieć wspólną kulturę i język. Musi mieć bazę ziemską i ludzi związanych wspólnymi więzami. Zaczęliśmy myśleć o sposobach urzeczywistnienia tego w rezerwach Ameryki Północnej.

SAIIC: Co robiliście, aby osiągnąć te przemiany?

VB: Działaliśmy w kilku różnych dziedzinach. Zajęliśmy się ochroną ziemi i bogactw naturalnych. Działaliśmy też w dziedzinie rozwoju ekonomicznego, aby znaleźć takie drogi, które nie będą szkodzić kulturze ani środowisku i aby znaleźć samowystarczalne sposoby gospodarowania. Kp. współpracowaliśmy ze wspólnotami Nawahów w opracowaniu systemu rolnictwa opartego na tradycyjnej żywności i osiąganiu takich zbiorów, które można by sprzedawać na targu za trochę gotówki. Razem z Szoszonami Zachodnimi walczyliśmy o zachowanie ich dawnej ojczyzny. Udało im się także zwalczać projekt zainstalowania pocisków MI w Nowadzie. Użyli wtedy argumentu, że mają prawo do tej ziemi i okazał się on skuteczny. Uczestniczyliśmy w projektach poprawy zdrowia kobiet. Współpracowaliśmy z kobietami, które interesowały się odrodzeniem tradycyjnych metod leczenia i położnictwa. Udało się im we własnych społecznościach zebrać kobiety na dyskusji o wspólnych sprawach oraz uzyskać kontrolę nad ich prawem do reprodukcji.

W ciągu ostatnich ośmiu lat uczestniczyliśmy w 85 projektach i wszystko to było oddolne, zainicjowane i kontrolowane przez samych Indian Projekty w Kanadzie i USA.

SAIIC: W jaki sposób angażujecie się obecnie w sprawy dotyczące Indian całej półkuli?

VB: Jako organizacja zaangażowaliśmy się w 1981 r., kiedy to ludzie z Gwatemali poprosili nas, abyśmy wystąpili w ich imieniu. Opublikowaliśmy w „The New York Times” całostroniowe ogłoszenie demaskujące brutalność gwatemalskiego rządu w stosunku do ludności kraju, w której większość stanowią Indianie.

Niezależnie od tego, dokąd idziemy i z kim rozmawiamy, stale odkrywamy, że nasze indiańskie zainteresowania są wszędzie takie same. Wszyscy troszczymy się o ziemię, o naszą duchowość, o nasze rodziny i społeczności, o nasze prawo do istnienia jako oddzielne, suwerenne narody. Są to tematy, które pojawiają się wciąż od nowa. Są to te same sprawy, w które angażują się obecnie ludzie na obu półkulkach. Myślę, że możemy się wiele od siebie nauczyć jako Indianie i że możemy sobie nawzajem wiele pomóc.

Widzisz, wszystko to jest wspólnota. Mówimy o wspólnotcie i wielu ludzi w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych pracuje obecnie nad odbudową swoich wspólnot i narodów. Myślę, że nadszedł czas, aby dotrzeć do Indian w Ameryce Środkowej i Południowej, odbudować dawne więzi.

Many Smokes, Lato 1978.

## Miejsce śpiewających kamieni.

W zamierzonych czasach, przed przyjściem białego człowieka, kiedy ludzie wierzyli jeszcze w takie rzeczy, istniało specjalne miejsce. Nazywano je Miejscem Śpiewających Kamieni. Ludzie mogli przychodzić do tego miejsca na piękny szczyt góry ze wszystkich stron świata. Niektórzy przychodzili po wizję, niekiedy po pieśni lub spowiadać się, większość przychodziła po naukę. Kamienie, których było tam trzynaście, ułożone były w kształcie okręgu lub koła. Każdy kamień był odmiennego koloru: wschodni koloru czerwonego, południowy - żółtego, zachodni - czarnego, północny - białego. Centralny kamień był brązowy, kolor skomponowany ze wszystkich innych. Wewnątrz okręgu kamienie były kryształowo czyste, pomagały one ludziom wyraźnie zobaczyć naukę kamiennego kręgu.

Przez wiele lat ludzie przychodzili do tego miejsca. Pierwsi zawsze pragnęli iść rozpoczynając układanie kamienia. Kiedy przekonali się, że wyznaczony kamień uczy i wkłada im naukę do serca, szli w kierunku następnego kamienia i rozpoczynali ceremonię od początku. Wszyscy ludzie kołachali i szanowali święte koło i wszystkie jego kamienie. Opiekowali się nimi w sposób, w jaki tylko prawdziwi duch ludzki to czynić potrafi.

W tym czasie, pewnego dnia zaczęli przybywać biali ludzie. Spoglądali z niedowierzaniem: „Co u licha niemądry ludzie zyskujecie z rozmowy z głazami?” W końcu więc ludzie zaczęli odchodzić od świętego koła. Wkrótce już tylko najstarsi pamiętali, gdzie jest to miejsce. Droga ta stawała się nieznaną przez bardzo długi czas. Pewnego dnia stary człowiek zaśpiewał pieśń, której nauczył go święte kamienie. Była to pieśń o zmianach ziemskich, które mogą przyjąć postać każdej istoty żyjącej na Matce Ziemi. Kilku młodych ludzi słyszało pieśń starca. Przyšli do niego i poprosili: „Dziadku, opowiedz nam więcej o pieśni, którą śpiewasz”.

- Dobrze, moje dzieci - powiedział stary człowiek. - Kiedy byłem bardzo młody, zapragnąłem pójść z moją babką do Miejsca Śpiewających Kamieni”.

- Ależ dziadku - roześmiali się - kamienie nie umiają śpiewać.

- Bądźcie cierpliwi, młodzi ludzie zawsze zbyt szybko wyśmiewają się, a nie rozumieją.

Stary człowiek nauczył ich wszystkiego, co było w jego sercu. Opowiedział im o tym, jak zapomniano o kamieniach i jak można je zapamiętać. Młodzi chłopcy i dziewczęta słuchali, a jedna dziewczyna otworzyła swe serce na słowa dziadka. Czuli się kamieniem i poznała ich magiczną moc, którą nosiły ze sobą. Wiedziała, że kamienie potrafią dać w darze pieśni, miłość i życie wszystkim, którzy zechcą otworzyć dla nich swe wnętrza.

Ilekcję szła naprzód po drodze lub siadała na szczycie góry, pragnęła trzymać w swej ręce kamień i czuć siłę życia przenikającą do jej wnętrza. Czasami któryś z kamieni pytał ją, czy by chciała być z nim przez jakiś czas, a ona podnosiła go i zabierała do swego domu. Każdy kamień pragnął dać jej nowe doznanie. Pewnego dnia szła skalistą drogą i usłyszała wołające ją kamienie.

Spojrzała uważnie dookoła, ale nie mogła żadnego kamienia znaleźć. Mimo to czuła, że każde wołanie dochodzi z jednego punktu, uklękła więc, pomodliła się i zaczęła ryć ziemię. Parę cali niżej znalazła duży okrągły Brązowy Kamień, który zaczął świecić słonecznym światłem. Usłyszała dalsze głosy wołające ją i wkrótce jej płacz radości zmył brud wielu lat z kamienia. Biegła przez całą drogę do domu swego dziadka, wyłamując z rozpadu drzwi. A starzec spojrzał na jej twarz i wszystko zrozumiał, a światło Śpiewających Kamieni okryło ich.

## O kobiecie, która poślubiła Grzmot.

Trzy piękne dziewczyny z plemienia Pekuni o imionach Błękitny Strumyk, Kura Prerii i Mały Kwiatek pewnego dnia zbierały w górach maliny. Nagle usłyszały odgłosy nadchodzącej burzy, a na niebie błyskawice.

- Uciekajmy szybko - powiedziała przelekniona Mały Kwiatek. - Jeśli nas tylko Grzmot dogoni, będzie już po nas.

- Nasz obóz jest przecież daleko - wtrąciła Błękitny Strumyk. Grzmot dopędzi nas zanim dojdziemy do naszego tipi. Myślę, że trzeba go jakoś odłaskawić.

- Ale jak, jak to zrobić - spytała ztroskana Kura Prerii i rozłożyła ręce. - Nie mamy przy sobie nic, prócz tych pudełek z kory brzozonej pełnych owoców.

- A ja - uśmiecnęła się Błękitny Strumyk - mam na to sposób: po prostu - jeżeli zechce nas oszczędzić - chętnie go poślubię!

Jedwie wypowiedziała te słowa, wiatr zmienił kierunek i grzmot otulony wielką czarną skórą odeszedł w kierunku południa, aby tam na skaliste szczyty rzucić swoje ogniaste oszczepy.

Mijało kilka dni. Tym razem trzy młode dziewczyny również poszły do lasu zbierać drzewo. Gdy już powracały, Błękitnemu Strumykowi zerwał się rzemień podtrzymujący wiązkę gałęzi.

- Idźcie dalej - powiedziała do dziewcząt. - Daj sobie radę i dogonię was.

Gdy się jednak podniosła ze swoją wiązką drzewa, dostrzegła nagle przed sobą pięknego, młodego chłopca w płóciennych włosach. Spojrzała czule na dziewczynę i powiedział:

- Zostań moją żoną.  
- Złe trafiłeś młodzieńcze. Myślisz, że wyjdę za mąż ze pierwszego napotkanego mężczyzny?

- A przecież to ty przyrzekałaś mi pewnego dnia, że jeżeli oszczędzę cię i twoje przyjaciółki - to mnie poślubisz.

- To ty jesteś człowiek-grzmot? - zawołała Błękitny Strumyk.

- Tak, to ja. Złaskała się właśnie po ciebie, bo pragnę przedstawić przysiężną żonę moim rodzicom.

Objął ją wół i lekko uniósł do górnego świata. Tymczasem w plemienu, do którego należała Błękitny Strumyk zawrzało. Jej ojciec, wódz plemienia, gdy tylko dowiedział się, że jego córka zaginęła, wezwał wytrawnych tropiciele i nakazał im szukać córki. Ci, prowadzeni przez Kurę Prerii i Mały Kwiatek, przemierzali etarannie wzduż i wszerz okoliczne lasy, ale niestety śladów Błękitnego Strumyka nie odnaleźli.

Pewien młody człowiek o imieniu Biały Gołąb dowiedział się od leśnych sikorek co się wydarzyło i pospieszył, aby wszystko opowiedzieć wodzowi, ojcu Błękitnego Strumyka.

- Teraz, skoro już wiesz wodzu, gdzie jest twoja córka. Może teraz będzie łatwiej ją odnaleźć. Niestety, ja jej szukać aż tam nie mogę. Ale - kto wie - może uda mi się ściągnąć ją do obozu. A jeśli by mi się to udało, czy zechcesz oddać mi ją za żonę? Bo widzisz... ja zawsze tak bardzo chciałem, aby moje tipi było i jej tipi...

- Jeśli ją odnajdziesz - będzie twoją - rzekł wódz.

Podczas kiedy tropiciele przemierzali góry i lasy poszukując Błękitnego Strumyka - ona sama przebywała w domu Człowieka-Grzmotu. Pędziła tam życie beczynnie, bo była obsługiwana przez kobiety, które spełniały wszystkie jej życzenia, dostarczając jej czego tylko zapragnęła.

W domu było zawsze wszystkiego pod dostatkiem zarówno mięsa bizona, jak i antylopy. Zaspokajała pragnienie dorodnymi owocami wszystkich pór roku, a mąż był dobry dla niej nieskończenie, nie urażając nigdy

Gdy wracał z przechadzki po dolnym świecie przynosił Błękitnemu Strumykowi garście pięknych, błyszczących kolorami tęczy kamieni, a ona zachwycała się nimi i robiła sobie cudny naszyjnik, jakiego mogła jej pozazdrościć każda kobieta z plemienia Pekuni.

I tak Błękitny Strumyk spokojnie i pięknie spędziła kilka księżycy nie mogąc uskarżać się na swój los.

Pewnego dnia jednak zachciało się jej towarzyszyć kobietom, które udawały się gdzieś dalej, aby kopać jadalne korzenie. Matka męża pożyczyla jej kamienną motykę przestrzegając ją, że nie wolno jej tknąć korzenia-matki, który daje życie wszystkim jadalnym korzeniom.

- Korzeń-matkę łatwo rozpoznasz, bo jest on najgrubszy ze wszystkich. Kiedy wypełniono już koszyki zebranymi korzeniami, Błękitny Strumyk zapragnęła zobaczyć korzeń-matkę. Gdy jej przyjaciółki pokazały go, Błękitny Strumyk straciła głowę z zachwytem zapominając o przestrodze, zaczęła go wykopywać chcąc się przekonać czy rzeczywiście jest on równie duży pod ziemią, jak i na ziemi.

A jednak po chwili opanowała swą ciekawość, ale postanowiła przyjść na zajutrz, już bez swoich towarzyszek.

Na drugi dzień powróciła na to samo miejsce i kopała dalej, aby lepiej sprawdzić objętość korzenia. Kopała tak długo i gorliwie, aż z jednej strony wyryla dziurę, przez którą ujrzała dolny świat, obóz swego plemienia i nawet...na środku tipi swego ojca.

Od tej chwili ogarnął ją smutek, często popłakiwała. Mąż usiłował wszelkimi sposobami ją pocieszyć, ale nie udało mu się mimo wszelkich starań wywołać uśmiechu na jej twarzy. Wreszcie zapytał:

- Co mogłbym dla ciebie uczynić, abyś poczuła się szczęśliwą?

- Pozwól mi odwiedzić moich rodziców na dolnym świecie - odpowiedziała. - I to choćby na okres jednego księżyca.

Człowiek-Grzmot zgodził się. Rozkazał kobietom upleść wielki kosz z kory, a ogromnemu pajakowi upleść długą line. Gdy już wszystko było gotowe, pewnej nocy, Błękitny Strumyk została w tym koszu spuszczonej przez otwór, który sama wykopała przy matce wszystkich korzeni.

Wielka była radość ojca, kiedy ujrzał córkę, a Biały Gołąb, czarownik plemienia, cieszył się z powrotu Błękitnego Strumienia jeszcze bardziej. Nie omieszkał też przypomnieć jej ojcu o obietnicy.

- Ale ona jest już żoną innego - zauważył wódz. - Co powiem Człowiekowi-Grzmotowi, gdy się po nią zgłosi?

- Przyrzeczenie jest i przyrzeczeniem pozostaje - odpowiedział Biały Gołąb - zaś Człowiekiem-Grzmotem sam się zajmę, jeśli się tu zgłosi. Znam takie zaklęcia i czary, które będą go trzymały z daleka od nas. Poznasz je i ty, wodzu, aby się o tobie długo mówiło.

Jednak wódz nie dał się przekonać. Powtarzał nie i nie, choć bardzo lubił młodego czarownika i wspólne siedzenie przy ognisku.

Nadszedł jednak ten ostatni dzień, kiedy Człowiek-Grzmot zgłosił się po swoją żonę. Biały Gołąb usłyszał jego nadejście już z daleka.

Włożył więc swój strój obrzędowy i wyruszył ze swego tipi, z fajką o czarnym cybuchu w ręku, przyozdobioną czterema piórami kruka. Zaciągnął się cztery razy dymem i z całej mocy dmuchnął w północną stronę. Natychmiast powiał mroźny wiatr i chłód zapanował wokół. Wszak wiemy, że Człowiek-Grzmot czuje się dobrze jedynie w ciepłym powietrzu. Nigdy przecież nie odrywa się w zimie, kiedy więc poczuł powiew chłodu, pomyślał, że mu się pomylił przy roku i wycofał się bez hałasu.

I od tej pory jak długo żył jeszcze Biały Gołąb - Człowiek-Grzmot nigdy nie śmiał się zbliżyć do obozu, w którym przebywała jego żona, Błękitny Strumyk.

A co do czarnej fajki przyozdobionej czterema piórami kruka, Biały Gołąb kładł ją wodzowi, tak jak przyrzekł, a ten przyniósł ją swemu następcy. Jeszcze dziś nosi ona nazwę "fajki smutku" i jest bardzo cenną w plemienu Pekuni.









# Będę pamiętał...

Zapowiadał się hucznie i uroczyście. Miał być największy, najwspanialszy i najbardziej widowiskowy. Miał przypominać dobre /podobno/ czasy pierwszych zlotów, podsumować dotychczasowe osiągnięcia Ruchu i zaradzić jego słabościom. Miał być wakacyjnym spotkaniem przyjaciół i unikalną okazją do przedstawienia „prawdziwych” Indian i nas samych „na zewnątrz” w społeczeństwie. Miał wreszcie stać się wielkim forum wymiany myśli i doświadczeń oraz wzorem przyszłych spotkań.

Czy był? Jak miała się „jubileuszowa” rzeczywistość do przedzlotowych marzeń i planów? Odpowiedzi byłoby zapewne tyle, ilu uczestników X Zlotu Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian - Chodzież 1986. Ja spróbuję odpowiedzieć na nieco inne pytanie: co zapamiętam z X Zlotu PRPI? - zastrzegając się od razu, że i tu każdy ma prawo mieć własne zdanie /które chętnie w TAWACINIE poznamy i opublikujemy/.

Organizatorzy Zlotu - chodzieski klub „Dakota” z jego motorem i dobrym duchem Markiem Kabatem - zrobili chyba wszystko, aby dobrze przygotować to spotkanie i zapewnić mu odpowiednią oprawę. Przed zlotem postarali się o świetny artykuł w „Tygodniku Piłskim”, przewidzieli nawet w programie Zlotu konferencję prasową, ale z zaproszonych dziennikarzy przyjechało tylko troje. Zaproszenia dla wszystkich uczestników miały wyeliminować osoby na Zlocie niepożądane /było ich, niestety, kilka/, zaś mapki - ułatwić dotarcie do atrakcyjnie położonego obozowiska; przy powitaniu błyskawicznie załatwiano niezbędne formalności. Na miejscu nie było kłopotów z opałem i tyczkami do 19 /aż! / tpi, czystą wodą do picia i kąpialni /bez mydła/, ani z zaopatrzeniem w żywność i napoje. Było też /nareszcie! / obozowe „zaplecze” przygotowane fachowo przez chodzieskie „Młode Wilki”, ale chociaż każdemu nowoprzybytemu pokazywano i tłumaczono wszystko, to w tak dużej grupie /ok. 150 osób/ nie udało się niestety uniknąć paru przykrych incydentów. Widać nigdy za wiele przypomnienia o porządku i bezpieczeństwie. A skoro już o obozowym wyposażeniu - czy ktoś jeszcze pamięta, ile sensacji i dyskusji wzbudziły przed dwoma zaledwie laty nowe i „nieindiańskie” wówczas, przywiezione przez Wilką, ruszta - dziś zwyczajne i często niezastąpione.

Co więc zapamiętam? Czy tylko malownicze okolice Chodzieży /które zawsze witam z radością/ i orzeźwiający kąpiele w upalnym letnim łożu? Zmienające się twarze ludzi /przyjaciół?/, z którymi nie zamieniłem czasami nawet słowa? A może całą gamę uczuć - od momentów przygnębienia do nie mniej licznych chwil szczęścia - wszystko to przez pięć krótkich dni?

Zapamiętam opóźnioną nieco przelotnym deszczem uroczystość otwarcia Zlotu i widowiskowa /wzorowy na obrzędzie Apaczów i długo przygotowywany/ taniec młodych chodzieszaków, nagrodzony oklaskami przez oficjalnych gości z miasta. To oficjalne otwarcie, podobnie jak niektóre późniejsze wydarzenia czy flagi - polska i dakocka - na maszcie, przypominały trzeci Zlot /też w Chodzieży/, uznawany zwykle za najlepszy. Ale czy można odtworzyć atmosferę sprzed paru lat? I czy tylko o to chodzi? Chyba nie - obok wspomnień istnieją też przecież marzenia i realne życie.

Dlatego nie zapomnę, że zabrakło tym razem Rady Zlotu /e i dla obozowej „policji” znalazłoby się pewnie zajęcie/. Na spotkaniach w Kręgu Rady /tak jak choćby przed rokiem/ łatwiej byłoby zapewne zająć się organizacją obozowego życia i realizacją programu /a były z tym problemy/, omówić różne ważne i aktualne sprawy i podjąć konkretną decyzję. Nie mogły tego załatwić „zakulisowe” rozmowy w małych grupkach ani wspólne dla wszystkich ogniska - to ostatnie też nie tak liczna, barwna i spontaniczna, jak na poprzednich afotkaniach /a może tak mi się tylko wydaje?/.

Zapamiętam wymowne milczenie po dyskusyjnym /w założeniach/ tekście Witka „o nas” /też milczałem/, a także kolejną gorącą, lecz bezowocną dyskusję pod hasłem „dlaczego tu jesteśmy?”, sprowokowaną przez Mirka /też gadałem/. Trudno mi będzie zapamiętać, że wciąż nie dojrzelismy do rozstrzygnięcia problemu stałego miejsca naszych przyszłych spotkań /a coraz trudniej jest zorganizować zlot/ i trudno zrozumieć niewiarę w możliwość - czy sens - zorganizowania biblioteki i funduszu Ruchu /a były konkretne propozycje, np. Plotra w sprawie Bieszczad/. Nie zapomnę też obojętności /?/ w paru innych - wydawałoby się - niecodziennych sprawach /nie odpowiemy np. na propozycję przyjazdu Russella Meansa do Polaki/ oraz wczesnych wyjazdów niektórych osób, zawiadzionych ponoć w swoich oczekiwaniach /najprościej zrezygnować?/

Czyżby rzeczywistość /jak twierdzą niektórzy/ czekał nas podział na nieliczną grupkę działaczy-sapałców i zadowoloną z siebie i życia całą resztę tzw. Ruchu, której wystarczą przydrożne zajazdy i rubaszne piosenki, „sweetgrass” i herbata „z duchem”? Chciałbym nadal wierzyć, że to nieprawda. Po coś więcej chyba przyjechało tych ponad 20 osób, które pamiętają nasze pierwsze ogólnopolskie spotkanie /w sierpniu 1977r. też w Chodzieży/. Trudno też zlekceważyć ponowny przyjazd Sat-Okha, który tak jak wtedy znacznie uatrakcyjnił nasze /?i/ spotkanie i zapamięć dwa - jakże różne - z nim wieczory. Pierwszy - rozpoczęty „galowym” Obrzędem Fajki, a zakończony bulwersującymi dla wielu /choć zapewne po części słusznymi/ krytycznymi opiniami „polskiego Indianina” na temat AIM czy projektu Korczaka Ziółkowskiego. I drugi wieczór - pełen obietnic, sympatycznych gestów i zobowiązujących chyba słów o „naszym Ruchu” i „naszym piosenku”.

Myślę, że zapamiętam spore zainteresowanie wydawnictwami i plakatami TAWACINU oraz nowe propozycje współpracy z redakcją /wciąż czekamy na wasze informacje, teksty i opinie/.

Nie zapomnę na pewno niedzielnej imprezy „dla miasta” w chodzieskim amfiteatrze /pierwszej na taką skalę i chyba nie ostatniej/, barwnych pokazów tancerzy z Chodzieży, Stummu i Białegostoku, peruwiańskich melodii w żywciołowym wykonaniu grupy z Warszawy, radości publiczności i samych wykonawców.

Będę pamiętał miłą niespodziankę, jaką nam wszystkim sprawił Orzeł, przywołując ze sobą Bruno Vermeerena z BANAI - Belgijackiej Akcji na rzecz Indian Ameryki Północnej /dziękujemy, Piotrze!/. Dzięki niemu mogliśmy bliżej poznać tę niewielką, lecz aktywną i pod wieloma względami podobną do nas /choć nie tak różnorodną/ organizację, która przed kilku laty gościła naszego olsztyńskiego przyjaciela, Tadeusza Piotrowskiego.

Z przyjemnością będę wspominał ogólną radość, zapal zawodników i gorący doping publiczności podczas premierowych rozgrywek w „bizonie jadra”, zapamiętam też pasję warszawiaków pokonanych w finale przez sztumiaków /którzy zdobyli tym samym puchar i płytę przeznaczoną dla zwycięzcy przez Sat-Okha/. Zapamiętam /także na wspaniałych kościach/ Darka z irokezkim tomahawkim - nagrodą Sata dla najlepszego zapaśnika i drużynę z Koszalina, która własnym sprzętem pokonała 20 /i/ innych zespołów w zawodach łuczniczych. Nie zapomnę też Niedźwiądka, drugi raz z rzędu zwyciężającego w konkursie rzutu tomahawkim /tradycyjnie już organizowanym przez naszą redakcję - gratulacje, Wiesiek!/, zawodów w rzucaniu nożem, czy „bitwy morskiej” na materacach.

Długo chyba zapamiętam, jak pewnego poranka z błęgiego snu wyrwało mnie głośne „Aufstehen!” niemieckiej kolonii, która i później - już mniej nieopodzielnie - spotkała się z nami w obozie i w amfiteatrze.

Miło będę wspominał parę godzin spędzonych /nie przez wszystkich, niestety/ w leśnej szkółce - warto kontynuować tę dobrą zlotową tradycję pracy na rzecz Matki Ziemi i gospodarza terenu.

Zapamiętam wreszcie oklaski po ogłoszeniu przez grupę koszalińską, że przyszłoroczny Zlot chciałoby zorganizować u siebie.

Czy to już wszystko? Na pewno nie - trudno na gorąco oddać pamięć wrażeń i uczuć. Będę pamiętał jeszcze Brata-Orła, szybującego swobodnie gdzieś wysoko ponad lasami i kręgiem tipi, a także malutkie ciemniki przemykające ciekawie w wodzie między czarnymi od kociątka palcami. Zapamiętam niewielką karteczkę z gdańskim a resem i ciche „dziękuję” za każdy zwykły ludzki gest. Będę pamiętał, że to dzięki temu Złotowi mogę znowu poznać piękno niedzielnych wieczorów, wolnych od „zaliczania” kolejnych odcinków jakiejś eszotycznej telewizyjnej „historijki”. I zapamiętam też pewną bardzo miłą i nieśmiałą dziewczynę, dzięki której... ale to już całkiem inna historia /która być może dopiero się rozpoczyna/.

Dziękuję Wam.

Marek

## jak to z nami jest

Wiele działo się wśród nas tego lata. Wiele spotkań, wiele wystaw, wreszcie wiele publikacji prasowych na temat Ruchu. Jedne dobre, drugie gorsze, ale dobrze, że są. /Zainteresowanych odsyłam do szczegółowej bibliografii/.

Już w pierwszych dniach lipca Sztumiaczy zaprosili co niektórych do Wilków koło Sztumu na swe spotkanie, które upłynęło w pełnej serdeczności atmosferze. Atrakcją dodatkową było rozegranie po raz pierwszy meczu w bizonie jądra, w którym bezkonkurencyjną okazała się grupa sztumska, co i później dało się zauważyć na Zlocie. Kiedy „wojownicy” pocili się ciemnym szalasiem, oczyszczając swe ciała i dusze, żeńska część obczu wzięwszy pod rękę miodnych ruszyło w las zbierać jagody, by potem ugotować zeń wspaniałą zupę. W spotkaniu uczestniczył też Sat-Okh, który zapowiedział swój przyjazd na jubileuszowy X Zlot PRPI. Słowa dotrzymał, czym ucieszyli wielu złotowiczów. Nie dotrzymali natomiast słowa organizatorzy spotkania w Wilkach, obiecujący nadesłać obszerną relację ze swego z naturą obcowania. Szkoda!

A potem był już przełom lipca i sierpnia... Zapowiadał się hucznie i uroczystie. Miał być największy, najwspanialszy i najbardziej widowiskowy. Miał przypomnieć dobre /podobno/ czasy pierwszych zlotów... no tak, ale to już było. Za to ci, którym było mało zlotowych wrażeń i smętnych dykusji spotykali się dalej w małych grupkach, korzystając z każdej okazji, aby się znowu zobaczyć. Część pojechała do Puszczy koło Sierakowa, szukać złota. Szkoda wielka, ale nie udało się nic wykopać, mimo zapewnień Jacka, że jeszcze tylko 20 cm... Inni pojechali na wachód, już nie po złoto, ale „zjeść wszystko”. Impreza nie bardzo się udała, to nad podbiałostocką puszcza zaczęło grzmieć i zbierało się na burzę, co wystraszyło niektórych. Burza przeszła bokiem.

Tuż po zakończeniu spotkania w Białymstoku można było pojechać do Warszawy, aby zobaczyć wystawę zbiorów Leszka Michalika, otwartą 19 sierpnia, i dowiedzieć się wiele ciekawych rzeczy, m.in. jaki to był styl „leniwej squal”. Kto nie wie, o co chodzi, niech zajrzy do „Świata Młodych”.

Do wystaw przyjdzie jeszcze wrócić, ale najpierw parę słów o jeszcze jednej wyprawie w podsierakowskie lasy. Tym razem nikomu nie śniła się już fortuna, a przyjechali po to, by przez 4 dni /wyprawa trwała od 1-7 września/ nic nie wziąć do ust, a popijać tylko wodę /spokojnie, zwykłą wodę/ i aby potem oczyścić się jeszcze w szalasiem pary.

Kiedy jedni głodowali i czuścili się, inni jeczali za granicę. Romek z p. Ewą pojechał do Wiednia. Co przywiózł i co zafatował opowiedział na spotkaniu w Pawłowie Żońskim 11-12 października, do czego jeszcze wrócimy. Dla nieobecnych: przywiózł ponad sto slajdów o życiu współczesnych Lakotów w Pine Ridge, przywiózł wiele materiałów, wiele nowych

adresów. W kwietniu przyszłego roku odbędzie się w Wiedniu spotkanie europejskich grup proindiańskich, na którym oczekuje się też i naszych przedstawicieli. Konieczne jest też wydawanie biuletynu w języku angielskim, w którym byłaby mowa o naszym Ruchu, naszej działalności i naszych kontaktach.

Wróćmy do wystaw. W dniach 24-25 września br. w Warszawie prezentowana była wystawa grafik Tadeusza Płotrowskiego. Tym razem tematem były konie. „Konie które rysują są wolne i dzikie - czytamy w katalogu wystawy. - Bez obrotów i uzd. Na moich rysunkach odpoczywają po tysiącletnich pracy i znoju dla człowieka. Można ich dosiadać tylko Indianin, polski ułan i rycerz słusznej sprawy”. Na otwarciu wystawy przybyło kilkunastu przyjaciół Tadzia, a także dwie śliczne panie z dalekiej Japonii. O wystawie tej można było usłyszeć w III pr. PR, a zobaczyć fragmenty także w telewizyjnym „Teleexpressie”. Tę samą prezentację koni, poszerzoną o „indiańskie” rysunki Tadzia i jeszcze inne z jego bogatych zbiorów można było zobaczyć na dużej wystawie na zamku olsztyńskim w dniach 3-26 października.

Coraz więcej ośrodków w Polsce zaczyna działać w domach kultury czy klubach osiedlowych itp. Koło Zainteresowań Kulturą Indian przy Bibliotece Miejskiej w Chodzieży dorobiło się własnej filii w niedalekiej Pawłowie Żońskim. Instruktaż prowadzi Andrzej Pływaczek, który pełen energii zabrał się do pracy. Jednym z efektów było wspomniane już spotkanie w dn. 11-12 października, ku uczczeniu Międzynarodowego dnia Solidarności z Tuhyłczymi Narodami obu Ameryk. Udział w nim wzięło ponad 20 osób. W miłej i sympatycznej atmosferze obejrzano zbiory Jacka Przybyłaka, pokaz slajdów, na których uwieczniono spotkania z kilku ostatnich lat. Najwięcej sensacji i zachwyty wywołały slajdy Andrzeja Rutkowskiego, którego prace mogłyby brać udział w międzynarodowych konkursach. W pamięci wszystkich uczestników pozostanie zapewne jeden obraz: kolorowe tipi oświetlone płomieniem ogniska nocą na tle księżycy. I jeszcze, Andrzej, twój taniec po rozżarzonych węglach. Co niektórym to dech zapierało nawet. Oby tylko zdjęcia wyszły.

Przedyskutowano również ważne sprawy naszej dalszej działalności. Romek w zastępstwie Piotra Cebuli poinformował o przyjeździe delegacji Indian kanadyjskich Lubicon Cree, a także /to pod koniec listopada/ - Stefanii Peltier. Miejsmy nadzieję, że Płotrowi uda się doprowadzić tę sprawę do końca. Dowiedzieliśmy się też, że w Warszawie trwają ciągle przygotowania do wyprawy naukowo-badawczej do Meksyku, której termin wyjazdu przewidywany jest w styczniu 1987 r. Romek miał tu najwięcej do powiedzenia, przywiózł wspomniane już slajdy, a także masę materiałów zebranych w kilku tematycznychteczkach. Ważnym było rozdzielanie tych teczek osobom zainteresowanym utrzymywaniem dalszych kontaktów, kiedy Romek wyjedzie do Meksyku. Na szczęście, znalazły się chętne do pracy osoby. Jak wywiążą się ze swych zobowiązań - zobaczymy.

Była już mowa o publikacjach prasowych, radiowych wystąpieniach Tadzia /a także Piotra/, trzeba też wspomnieć - czas najwyższy - o Telewizji. Na początku września szef RKZi z Chodzieży Marek Kabat otrzymał telefon z Woronicza 17, aby przyjechać do Warszawy nagrać program. „Będą też Sztumiaczy” - tyle się dowiedział. Ale zabrał grupkę ludzi, wsiadł w ekspres, pojechał do stolicy i po wszelkich formalnościach przepustkowych znalazł się wreszcie w atryum gmachu TVP. Potem przyjechali Sztumiaczy i nagrano 32-minutowy program, z czego niestety pozostała przypadła panu T. Halikowi. Marek miał 425 min. /słownie: cztery minuty i dwadzieścia pięć sekund/ na powiedzenie o historii Ruchu i jego działalności, zaś Sztumiaczy tancerze mieli tylko 20 a /dwadzieścia sekund/ na pokazanie swych umiejętności. Ale z tej komercyjnej Telerankowej plus jest taki, że odnalazło się /dzięki naprędce powiadzianym adresom/ wielu ludzi zainteresowanych Indianami. Często po raz pierwszy



dowiadawali się oni o istnieniu Ruchu. Pod adresem obu klubów zaczęły nadchodzić listy, co może przyczynić się do znacznego rozwoju Ruchu.

Okazało się mianowicie, że i na naszym poznańskim terenie znajdują się osoby zainteresowane i chętnie nawiązałyby z nami kontakt. Grupa poznańska jest to tym bardziej teraz potrzebna, bo z Osiedlowego Domu Kultury „Orbita” przydzielono im pokój do zagospodarowania jako miejsce przyszłego Koła Przyjaciół Indian. Prace są w trakcie i mamy nadzieję, że skróćcie usłyszenie jeszcze o tym Kole. Poznaniacy myślą też zupełnie poważnie o zorganizowaniu przyszłorocznej sesji naukowej, która mogłaby się odbyć w marcu. Czy się nie zniechęcą czas pokaże.

W Toruniu działa sekcja etnograficzna Towarzystwa Polsko - Ameryka Łacińska, której przewodzą Arkadiusz J. Kilański. Działalność sekcji polega na organizowaniu spotkań poświęconych problematyce indiańskiej. Dotychczas Arek zorganizował trzy prelekcje o współczesnych problemach Indian z Ameryki Północnej i Środkowej. Zainteresowanie tą problematyką, jak nam Arek powiedział, jest stosunkowo małe. Ale my znów wyrażamy nadzieję, że nie zabraknie mu energii i dzięki swej pracy rozbudzi zainteresowania mieszkańców swego miasta sprawami Indian.

Otrzymałyśmy list:

„Droży Bracia i Siostry!

Grupa Koszalińska zobowiązała się zorganizować XI zlot w okolicach Koszalina. Miejsce przyszłego zlotu jest już ustalona, myślimy więc, że organizując to nasze przyszłe spotkanie nie pozostaniemy sami. Liczymy więc na inicjatywę, pomoc i propozycje odnośnie formy przyszłorocznego zlotu.

Dalście szczegóły dotyczące Zlotu zamieścić na łamach kolejnych numerów Tęścinu. Podajemy też adres, pod którym oczekujemy na wasze uwagi, propozycje i pytania: JACEK CWCZARZAK, ul. Morska 62A/7, 75-234 KOSZALIN\*.

Na koniec trochę matrymonialnych niedyskrekcji.

Małgosi i Sławkowi ze Sztumu oraz Joasi i Piotrowi z Poznania życzymy dużo szczęścia na wspólnej drodze.

Ślub Gosi i Sławka odbył się 27 września i został on uwieczniony na taśmie filmowej za sprawą Sata, która zawiązała do Sztumu wraz z ekipą Gdańskiej Telewizji. Fragment ceremonii można było zobaczyć w „Teleexpressie”. Całość obiecano pokazać w gdańskim programie „Dookoła świata”.

W ostatniej chwili dowiedzieliśmy się o związkach Hani i Jurka, a także Jolki i Darka. Wszystkim życzymy również dużo szczęścia i pogody ducha na każdy dzień.

Andrzej Rutkowski, po opublikowaniu wywiadu z nim przeprowadzonego, otrzymał sporo listów od osób zainteresowanych Indianami, a także kilka propozycji lokalnych jako miejsce przyszłego klubu. Andrzejowi życzymy dużo siły i powodzenia w pracy z młodzieżą. Czekamy na dalsze tak pomyślne informacje.

Na koniec tych doniesień z ostatniej chwili smutna wiadomość. Przyjazd delegacji Indian Lubicon Kri zostaje odwołany. Nie udało się znaleźć organizacji, która byłaby chętna zaprosić Indian. Z niepokojem czekamy na rozwiązanie sprawy przyjazdu Stefani Autumn Peltier.

I jeszcze podziękowanie: JOASIU, dziękujemy za te wspaniałe wieczory czwartkowe!

# Relacja z podróży do Austrii

Do Austrii wyjechałem wraz z panią doc. Ewą Nowicką - pracownikiem Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego - na zaproszenie kustosa Muzeum Etnograficznego w Wiedniu /Museum für Völkerkunde/ Christiana F. Feesta. Wizyta miała miejsce w terminie 25 sierpnia - 3 września br. Było wspaniale. Byliśmy bardzo serdecznie przyjmowani, zarówno przez Austriaków jak i zamieszkałych tam Polaków. Wieszkałiśmy i przebywaliśmy głównie w Wiedniu. Byliśmy ciągle zapraszani przez różnych ludzi na obiady, kolacje, lody, wycieczki samochodowe i rowerowe itd. Zwiedzaliśmy Wiedeń i okolice. Nie będę jednak opisywał wszystkiego za szczegółami. Skupię się na sprawach indiańskich.

Któregoś dnia pan Feest zabrał nas samochodem do Filii wiedeńskiego Muzeum Etnograficznego, położonego w małym miasteczku Matzen, w starym XIII-wiecznym zamku /ok. 70 km. na pn-wsch. od Wiednia/. Mieści się tam bogata kolekcja różnych przedmiotów związanych z Indianami Ameryki Północnej. Głównie znajdują się tam rzeczy dotyczące współczesnego życia Indian, tzn. czasopisma, książki, plakaty, współczesna stroje, element zdobnicze itd.

Następnego dnia odwiedziliśmy Muzeum Etnograficzne w Wiedniu, które mieści się w dawnej rezydencji cesarskiej. Zwiedzaliśmy zarówno wystawę, jak i magazyny. W magazynach mogliśmy wziąć wszystko do ręki. W muzeum tym znajduje się min. bardzo bogata kolekcja przedmiotów kultury materialnej Indian Ameryki Północnej z okresu XIX i XX w.

Następnie zostaliśmy zaproszeni przez pana Feesta do jego mieszkania. To mieszkanie to jedna wielka biblioteka. Biblioteka w mieszkaniu o powierzchni 500 m<sup>2</sup> może to przypisać człowiekowi o zawrót głowy. Prawie wszystkie stojące w niej książki dotyczą Indian Ameryki Północnej.

Sporo czasu poświęciliśmy na spotkanie z członkami Wiedeńskiej Grupy Poparcia dla Indian Ameryki Północnej. Zostałem zaproszony przez Rainharda Trinka, szefa grupy Wiedeńskiej działającej w ramach Stowarzyszenia dla Obrony Północnych Narodów /Gesellschaft für Bedrohte Völker/ do odwiedzenia ich biura. Biuro - półki zabezpieczone wszelkimi materiałami, telefon, kserograf itp. Mogłem wybrać interesujące mnie materiały i akserować je. Przywiozłem ich dosyć dużo.

Następnego dnia zaprosił nas do swego mieszkania Peter Schwarzbauer - asystent na Wydziale Leśnictwa Akademii Rolniczej w Wiedniu. Mieszkanie - 250 m<sup>2</sup> zabezpieczone materiałami dotyczącymi Indian Ameryki Północnej. Również od niego otrzymałem sporo materiałów m.in. napisaną przez niego książkę „Der Lakota Report”, jeden egzemplarz gazety wydawanej przez Lakotów „Lakota Wicapi” oraz slajdy o Lakotach.

W kolejnym dniu naszego pobytu doszło do spotkania z całą grupą wiedeńską /przyszło ok. 10 osób/ w restauracji „Rico Andino” prowadzonej przez Latynosów. Spotkaliśmy się w dużym pomieszczeniu znajdującym się na strychu tej restauracji, które również mają do swej dyspozycji. Stanowiłem pewną sensację dla tych osób, okazywano nam żywą ciekawość. Był również obecny Carlo Krieger z Luxemburga, którego poznałem w marcu br. w Budapeszcie. O czym rozmawialiśmy? Oni opowiadali o swojej działalności, problemach, sukcesach. Ja z kolei o nas, o Polskim Ruchu Przyjaciół Indian. Przedstawiłem im nasze realia, problemy, nasz status itd. Wydaje mi się, że zrozumieli naszą sytuację.

Dogadałem się co do udziału delegacji PRPI w ogólnoeuropejskim Spotkaniu Grup Poparcia, które odbędzie się w przyszłym roku w Wiedniu. Zostałem zaproszony 2-3 osoby /zaproszenia prywatne/.

Dalej, cała grupa wiedeńska wyraziła chęć przyjazdu na Zlot PRPI w przyszłym roku /po obejrzeniu zdjęć/. Bardzo ich to zainteresowało. Obydwie strony wyraziły nadzieję, że powstanie współpraca i będzie się rozwijać.

Było to bardzo miłe spotkanie. Wszyscy byli bardzo życzliwi. Wiele opuszczałem z zalem, mając uczucie, że wielu spraw jeszcze nie załatwiłem, ale niestety wiza się skończyła i trzeba było wracać. Zawsze chętnie tam kiedyś wrócę. Teraz powracam do Wiednia „nad pięknym modrym Dunajem” myślami.

Grupa austriacka poleciła mi przekazać dla Was pozdrowienia, co niniejszym czynię.

Roman Bala

## „Indianiński gawędziarz w Polsce”

Zaraz po powrocie ze zlotu dowiedziałem się o przyjeździe do Polski Indianina z narodu Majów, rodem z Hondurasu - Pływającego Orlego Pióra. Niebawem trafem znalazł się też w Toruniu. Floating Eaglefeather już od 9 lat podróżuje po świecie i opowiada zebrane przez siebie baśnie i podania ludowe - jest bowiem gawędziarzem /storyteller/. Opowiadał już w Kanadzie, Japonii, Indiach, Meksyku, Anglii, Grecji, Francji i Polsce. Od 1984 r. odbywa podróż dokoła świata, której celem jest poznanie różnych narodów i ich dorobku w postaci podań przekazywanych z pokolenia na pokolenie.

Spotkanie w Muzeum Etnograficznym rozpoczęło się w krąg paczeczki gawędziarskiej z sownią piórem. Każdy zaciskał prawą dłoń na niej przekazując swoją energię w postaci dobrych myśli. Pierwszą opowieścią była żydowska historia z Wrocławia, następną była już z Meksyku o bogaczach, którzy jedli na długich stołach wykwintne potrawy, a na widok ubogich pochowali je pod stół. Ubodzy wieśniacy zapytali czy śledzący przy stołach mają coś do jedzenia.

- Przecież widzicie, że stoły są puste. Nic nie mamy - odpowiedzieli. Po odejściu biedaków z radością wyciągnęli tace na stół. Ale ich słowa stały się prawdą i rzeczywiście nie mieli nic do jedzenia. Na tacach prześwitywały się węże, jaszczurki i robaki.

- Od chwili poznania tej opowieści - powiedział Floating Eaglefeather - dzielę się zawsze jedzeniem z tymi, którzy są głodni. Ta prawda tak oczywista nie jest spotykana zbyt często wśród konsumpcyjnego białego społeczeństwa.

Kolejną opowieść dotyczyła kojota, który jest ulubionym tematem indianińskich opowiadań. Pewnego razu kojot zobaczył, że zwierzęta udające się w długą podróż składają ofiarę z dobrych kasków na szczycie góry. Po ich odejściu, kojot zabrał wszystko i zacierając ręce z zadowolenia, że jest taki sprytny zostawił na górze śmieci i ochłapy. Nie zdążył dobrze zejść, a góra zadrżała i zaczęła go żonić. Kojot uciekając bardzo szybko dogonił zwierzęta. Spozstrzegł, że nie zdążył uciec i zaczął przeraźliwie krzyczeć? - Pomóżcie, przyjaciele! Jak uciec przed tą górą?

- Pomóżemy, ale ty będziesz się przechwalał, że i tak wiedziałeś co zrobić - powiedziały zwierzęta. Biegnij ślalomem i skacz do najbliższej dziury. - Tak jak radzili mu przyjaciele, tak zrobił. Siedząc w dziurze przechwalał się: - Phi, nie musieliście tego mówić, też mi to przyszło do głowy. W tym momencie góra przetoczyła się nad nim i zatrzymała się nad dziurą. Kojot zaczął się naprężać i pchać. Ale góra ani drgnęła. Zaczął znów wołać do przyjaciół o pomoc. Zwierzęta odpowiedziały: - Pomóżemy ci, ale znów będziesz się przechwalał. Zrób dużo hałasu jakbyś nie był sam w tej dziurze, ale jakbyś była z tobą cała rodzina.

Kojot zaczął wrzeszczeć i walić pięściami naśladując różne głosy. Góra wówczas pomyślała: - Oj, uwieźliłam wiele zwierząt, nie mogę ich przetrzymać. I odała się, kojot szybko wyskoczył i biegnąc zawołał: - Phi, nie musieliście mi dawać rady, sam wiedziałem co robić!

Floating Eaglefeather uraczył nas tymi opowieściami /przetoż, ten tu tylko dwie, choć było ich znacznie więcej, np. o motylach i mrówkach/ w sposób bardzo piękny. Miał niezwykły dar opowiadania, pełen różnych dźwięków, gestykulacji i pogody ducha. Dużo zasługuje w tym też i polskiego tłumacza. Wielu uczestników /w tym ja/ uosniało niezapomnianych przeżyć poznając na nowo opowiadanie o pokonywaniu zła i dążeniu do pokoju, jakby zakurzonych z czasów dzieciństwa. Opowiadał także o sobie. Wychował się w rodzinie, która wstydziła się swego indiańskiego pochodzenia i mówiła tylko po hiszpańsku. Pewnego razu miał wizję. Z jego ręków wypadło orle pióro do rzeki, a dalej popłynęło do Ameryki i oceanów. Wielki Duch przyniósł je z powrotem, musnął go nim w twarz i wtknął w serce. Indianin wówczas zrozumiał, kim jest i że jego powinnością jest kontakt z ludźmi wszystkich ras, by przekazywać dorobek Indian i poznać dorobek innych ludzi. Wtedy to zapomniał o swym hiszpańskim imieniu i nazwisku i zaczął posługiwać się nowym: Pływające Orle Pióro. Jako jedyny w rodzinie chodził ubrany w tradycyjny strój Majów i jest dumny z tego, że jest Indianinem.

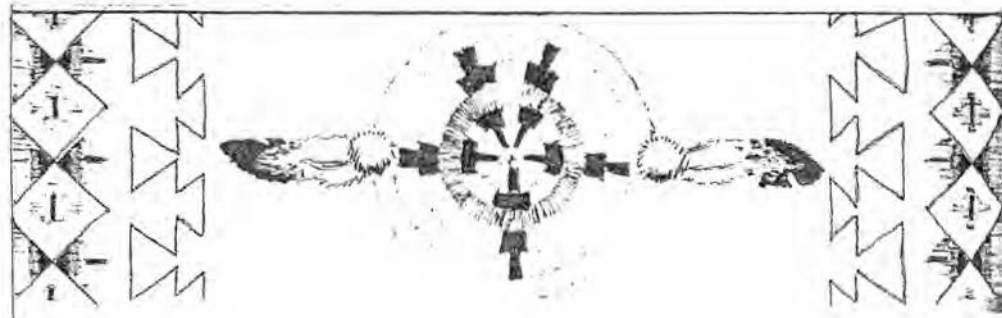
Po zakończonym spotkaniu podszedłem do Pływającego Orlego Pióra i rozpocząłem krótką rozmowę poczynając od tematyki Indian Miskito. Wspaniały gawędziarz był mile zaskoczony faktem istnienia naszego Ruchu, odbywanie zlotów a także kulturowania tradycyjnych obrzędów jak obrzęd fajki czy szafas pary. Najwięcej przyjemności sprawiło mu, gdy dowiedział się, że wielu ludzi w Polsce autentycznie czuje się związanych z Matką Ziemią i że najcenniejsza dla nich jest Ścieżka Piękna /? - Red./-. Gdy wspominałem o Tawacinie i wielu książkach w języku polskim zapytał z nadzieją w głosie: - A „Siedem Strzał”? - Jest tłumaczona - odrzekłem, mając cichą nadzieję, że już niedługo ujrzymy tłumaczenie Anki ze Sztumu. - Czy znasz problemy Navajo? - spytał zniechęcony. - Chodzi o spór między Hopi a Navajo? - odpowiedziałem pytaniem. - Tak to przedstawiają środki masowego przekazu, ale naprawdę jest to konflikt między rdz. a Navajo - stwierdził stanowczo.

Na zakończenie mej rozmowy poprosiłem o pamiątkowy wpis w książce dotyczącej problemów regionu, z którego pochodzi /niestety nie posiadam jego książek, a wydał ich dwie we Francji/. Czuję się w obowiązku przekazać słowa jakie zostawił po sobie: „To My Sisters and Brothers in Poland - Indian Support Group, Floating Eaglefeather”.

Kilka dni temu otrzymałem obiecany przez niego list, w którym pisze, że jest możliwy jego przyjazd do Polski w grudniu. Pyta, czy nasz Ruch jest zainteresowany wystudowaniem jego opowieści?

A więc?

Arkadiusz J. Kilanowski





Wybrana bibliografia książek i czasopism dotyczących amerykanistyki  
wydanych od kwietnia do listopada br.

---

Ewa Boniecka: Waszyngtońskie ABC. Iskry 1986.  
Mirosława Czerny: Sładami Inków. MAW, seria „Glob” 1986.  
Rene Duboa: Pochwała różnorodności. PIW 1986.  
Antonio Halik: Z kamerą i strzelbą przez Mato Grosso. Szczecin 1986.  
Krótka historia Meksyku. PWN, seria „Biblioteka Problemów” Warszawa 1986.  
H. Jabłonowski: Świat nie kręci się wokół Andów. Iskry, Warszawa 1986.  
Farley Mowat: Nie taki straszny wilk. Iskry, Warszawa 1986.  
Francea Murray: Lampa w mroku. Warszawa 1986.  
Sat-Okh: Ziemia Słonnych skał. Czytelnik, Warszawa 1986. wyd. 6.  
Jack Schaefer: Kanion. Iskry, Warszawa 1986.  
Henryk Sienkiewicz: Listy z podróży do Ameryki. PIW, Warszawa 1986.  
Kriatian Feest: Iskustwo koriennych narodow Siewiarnoj Amieriki. „Raduga  
Moskwa 1985.

+++ +++ +++ +++ +++ +++ +++ +++ +++ +++ +++

Marek Zieleniewski: Indianie z dorzecza Wiały. „Wprost”, nr 21 z dn.  
25-V-1986.  
Indianie z dorzecza Wiały /Pocztka/. „Wprost”, nr 26 z dn. 29-VI-1986.  
Marek Maciołek: Głosy Narodu. „Radar”, nr 24 z dn. 12-VI-1986.  
Zygmunt Broniarek: Indiańska saga 1986. „Trybuna Ludu” z dn. 16-VI-1986.  
Mirosława Posern-Zielińska: Wounded Knee A.D. 1985. „Poznaj świat”  
nr 7, lipiec 1986.  
Krzysztof Kalka: Rozmawiać z wodą... „Tygodnik Pileki”, nr 27 z dn.  
6-VII-1986.  
Waldemar Uchman: Lato polskich Indian. „Express Ilustrowany” nr 134 z dn.  
11-VII-1986.  
Poezja indiańska w ... Polaca./wiersze Artura Urbańskiego i Grzegorza P.  
Kozłowskiego/ „Radar” nr 29 z dn. 17-VII-1986.  
/eat/ „Sierpniowi Indianie”. „Express Poznański” nr 196 z dn. 13-VIII-86  
/iat/ Leniwa squaw. „Świat Młodych” nr 113 z dn. 20-IX-1986.  
Iwona Starzyńska: Wstanie, jak się obudzę... „Świat Młodych” nr 114  
z dn. 23-IX-1986.  
Marek Sarjusz-Wolski: Indiańska droga. „Przegląd tygodniowy” nr 39  
z dn. 28-IX-1986.  
Ewa Stańska: Wakacyjna relacja a nie dysertacja. „Express Poznański”  
nr 190 z dn. 30-IX-1986.  
Nie indiańska, lecz słowiańska. „Radar” /agora” - listy M. Maciołka,  
A. Urbańskiego i G.P. Kozłowskiego/ nr 40 z dn. 2-X-1986.  
„Agora” - list J. Tołłoczki. „Radar” nr 45 z dn. 6-X-1986.  
Z.B.: Saksowski bard i Spartańskie Arizony /O Karolu Mayu/. „Antena”  
nr 47 z dn. 12-XI-1986.

Ponadto:

W „Trybunie Ludu” z dnia 16-X-1986 /wydanie centralne/ ukazał się  
artykuł o Leonardzie Peltierze.  
W czwartkowych wydaniach „Świata Młodych” przez całe lato ukazywały  
się artykuły pod wspólnym tytułem „Nie tylko Wielki Manitou”.  
W „Tygodniku Pilekim” ukazał się list M. Kabata po artykule K. Kalki.  
W jednym z dzienników Łódzkich ukazał się wywiad z Andrzejem Rutkowskim.  
Jeśli znacie inne publikacje na interesujący nas temat prosimy o kontakt

Oprac. MN/MM



# Słoty z Wounded Knee '73

/Odc. 3/

## W drodze do Wounded Knee.

W lutym 1973 roku trzech członków Rady Plemiennej Siuksów Oglala zainicjowało postępowanie oskarżycielskie w stosunku do Richarda Wilsona, czwarty raz w ciągu dziesięciu miesięcy jego rządów. To postępowanie przeciwko niemu zyskało sobie duże poparcie ludzi, a w odpowiedzi Wilson wezwał policję federalną /U.S. Marshalls/ i Federalne Biuro Śledcze /FBI/ na pomoc. Powiedział im, że Ruch Indian Amerykańskich /AIM/, organizujący w Rapid City przesłuchania dotyczące praw obywatelskich po demonstracjach w Custer, planuje przybyć do Pine Ridge i zająć budynek Biura do Spraw Indian /BIA/.

Rząd federalny, którego różne agencje prowadziły ścisłą inwigilację AIM od czasu listopadowej okupacji budynku BIA w Waszyngtonie, bardzo chętnie wkroczył i poparł Przewodniczącego Plemienia. 11 lutego oddział 65-75 policjantów federalnych przybył do Pine Ridge i w tamtejszym budynku BIA założył punkt dowodzenia. Krótko potem przybył kontyngent FBI i założył oddzielny punkt dowodzenia.

Wilson odroczył wtedy swoją własną rozprawę oskarżycielską, planowaną na 14 lutego, tak aby policja federalna mogła przeszkolić lokalnych policjantów BIA w tłumieniu rozruchów. Jako przyczynę odroczenia podał „warunki drogowe i pogodowe”, chociaż na posiedzenie przybyło ponad 300 osób. Organizacja Praw Obywatelskich Siuksów Oglala /OSCRO/ zrytowana odroczeniem i przybyciem policjantów zorganizowała demonstrację przed budynkiem BIA. Żądano usunięcia Wilsona, nadzorca z BIA Stanleya Lymana i policjantów. Gladys Bissonette, Ellen Movea Camp i Lou Bean to trzy kobiety aktywne w Organizacji Praw Obywatelskich.

Później, w Wounded Knee, tak opowiedziały o demonstracji: GLADYS: „Rankiem 14 lutego pomaszzerowałyśmy do Billy Mills Hall i otoczyłyśmy go. Na samych drogach miałyśmy nasze plakietki i znaczki - wszystkie o Dicku Wilsonie i Stanle Lymanie, o tym jak są skorumpowani - i tam, w Billy Mills Hall, staraliśmy się doprowadzić do oskarżenia Wilsona. Żądaliśmy szybkiego procesu i nie mogłyśmy tego uzyskać. Więc poszłyśmy do nadzorca. I kiedy maszerowałyśmy, to nie było tam nikogo oprócz nas, kobiet. Miałyśmy bęben i dziewczęta biły w bęben i śpiewały, bo mężczyźni obawiali się aresztowania za uczestnictwo”.

ELLEN: „Mielśmy ludzi z całego rezerwatu, ze wszystkich ośmiu okręgów. Zadzwońliśmy i powiedzieliśmy im, że chcemy to zrobić, więc przyszli i pomogli nam. Domagaliśmy się usunięcia Wilsona, Lymana i policji federalnej, którą dla nich przysłano.”

Lyman zatelefonował do Dicka Wilsona i powiedział mu, żeby przyszedł i porozmawiał z nami. Wilson odpowiedział mu, że nie przyjdzie z nami rozmawiać - że nie musi przed nikim stawać. Powiedział też Stanleyowi Lymanowi: „Mówiłem ci to już wcześniej, więc po co, do diabła, do mnie dzwonisz?” Dokładnie tak mu powiedział”.

Ministerstwo Sprawiedliwości w bezprecedensowym akcie utworzyło w Pine Ridge nielegalną armię federalną, przekształcając zwykłe agencje przestrzegania prawa - FBI, policję BIA i stanową - w paramilitarne siły zbrojne wyposażone przez Pentagon. Uczyniono to dla uniknięcia rozgłosu, jaki nadano by sprawie, gdyby użyto Gwardii Narodowej lub 82 dywizji powietrzno-desantowej. Wysyłając armię do rezerwatu ujawniono by światu, że rząd Stanów Zjednoczonych stłumił siłą powstanie ludowe. Dlatego rząd starał się sprawiać wrażenie, że po prostu pomaga lokalnym władzom. W Pine Ridge policja BIA została włączona do armii Ministerstwa Sprawiedliwości pod dowództwem federalnym, ale miało to wyglądać tak, jakby to agencje federalne po prostu weplerały w sposób neutralny lokalną policję, chroniąc Wilsona i budynek BIA podczas procesu oskarżycielskiego.

Policjanci mogli przybyć także do Pine Ridge, aby chronić Wilsona i budynek BIA, ale jasne jest, że zoatali przysłani przez rząd, aby koordynować atak na Ruch Indian Amerykańskich, który skutecznie przewodził buntowi Indian przeciwko całemu systemowi BIA. Wysocy urzędnicy policji federalnej, Prokuratorzy, FBI oraz BIA znajdowali się w Pine Ridge od 20 lutego, kilka dni przed posiedzeniem oskarżycielskim Wilsona. Szef policji federalnej przyleciał z Waszyngtonu samolotem dostarczonym przez Pentagon. Aby połączyć punkty dowodzenia w Pine Ridge z siecią radiową policji i otoczone drutami tereny moteli w Ruahville i Chadron w Nebrasce, gdzie stacjonowała większość policjantów i agentów FBI, zainstalowany został rozległy system łączności radiowej.

Z innych rezerwatów przybywali inni policjanci BIA a policja federalna organizowała instruktaż policji indiańskiej w zakresie tłumienia „zakłóceń porządku publicznego”. Przy pomocy policji stanowej i miejskiej z Rapid City, FBI i policja federalna rozpoczęły szeroką inwigilację członków Organizacji Praw Obywatelskich Siuksów Oglala i Ruchu Indian Amerykańskich.

Wydaje się, że policja federalna, która przybyła jako „neutralny element do ochrony życia i własności, nie ingerujący w problemy lokalne”, nie była zwykłą agencją rządową, zajmującą się wręczą i bez nakazów aresztowania i aresztującą przestępców. Pierwszą przybyłą grupą policjantów byli członkowie 110-osobowej elitarniej jednostki ochotników, nazywanej Grupą do Zadań Specjalnych /Special Operations Group - SOG/. Jednostka ta powstała w odpowiedzi na wczesny protest Ruchu Indian Amerykańskich na indiańskich ziemiach w Minnesocie i była oddziałem Ministerstwa Sprawiedliwości odpowiedzialnym za zakończenie trwającej 18 miesięcy indiańskiej okupacji wyapy Alcatraz oraz szeregu demonstracji antywojennych.

Według szefa policji federalnej Wayne'a Colburna „SOG jest siłą uderzeniową używaną jedynie na rozkaz prezydenta lub prokuratora generalnego”. Colburn stwierdził, że SOG „ma być w pełni samowystarczalną jednostką, która w większości sytuacji mogłaby działać niezależnie od innych formacji”. Jeden z policjantów opisał tę agencję jako federalną siłę uderzeniową, udającą się zawsze i wszędzie, bez względu na prawa lokalne i stanowe.

Członkowie Grupy do Zadań Specjalnych są zawodowcami z wojskową przeszłością lub wyszkoleniem. Colburn, jej szef, jest byłym komandosem i policjantem, wielu innych - to dawne Zielone Berety. Jedną z grup SOG, które przybyły do Pine Ridge, był czteroosobowy „zespół antysnajperski” kierowany przez Wayne'a McMurtreya, byłego policjanta z Missisipi. Zespół antysnajperski sam jest zespołem snajperów, wspieranym przez oddział ludzi z bronią automatyczną i dwukierunkowymi radiostacjami.

## Oskarżenie

Podczas okupacji Wounded Knee, Pedro Bissonette, wiceprzewodniczący Organizacji Praw Obywatelskich Siuksów Oglala, i Gladys Bissonette wspominali postępowanie oskarżycielskie i swoją frustrację z powodu manipulowania przez Richarda Wilsona swoim własnym przesłuchaniem i procesem w dniach 22 i 23 lutego.

PEDRO: „I wtedy my, Grupa Praw Obywatelskich, zgromadziliśmy się na pow-wow w Calico Community Hall, sześć mil na północ od Pine Ridge. Rankiem 22-go o godzinie 9-tej opuściliśmy Calico - oskarżenie było planowane na 10-tą. Do Billy Mills Hall przyjechaliśmy karawaną 150 samochodów, 350 ludzi. Okrążyliśmy Billy Mills Hall trzy razy, zaparkowaliśmy i weszliśmy do środka. Byli z nami nasi bębniści i śpiewacy, i śpiewaliśmy. Była z nami nasza fajka pokoju i nasi duchowi przywódcy. Zostałem powiadomiony, że oskarżenie ma się odbyć za zamkniętymi drzwiami, a ludzom będzie pokazywane przez telewizję. Ale powiedziałem im, że członkowie grupy Praw Obywatelskich domagają się publicznego przesłuchania.

Więc przegłosowali to i przyznali nam rację, bo było nas tam wielu. Po naszej stronie siedziało sześćdziesiąt pięć. W międzyczasie odroczyli przesłuchanie do 2 po południu i wyświetlili film /ANARCHY, USA, wyprodukowany przez John Birch Society/ o buntujących się i palących domy kolorowych. Jedynymi zainteresowanymi filmem byli członkowie Rady. My śpiewaliśmy i robiliśmy swoje".

GLADYS: „Członkowie Rady mieli głosować, czy Wilson powinien być postawiony w stan oskarżenia, po czym Przewodniczący Plemienia miałby zostać zawieszony na dziesięć do dwudziestu dni /do czasu procesu/. Rada miała więc głosować nad procesem oskarżycielskim Wilsona. Ale on wyszedł i zażądał procesu natychmiast - do czego nikt nie był przygotowany.

Więc następnego dnia /23 lutego/ wróciliśmy na proces. Grupa Praw Obywatelskich zajęła całą jedną ścianę budynku i część drugiej strony. Było nas sporo i była to dość duża sala. Na tym procesie oskarżycielskim nie pozwolono nam NIC powiedzieć. Wszyscy musieliśmy siedzieć w milczeniu. Mieli sędziego - nazywali go arbitrem - którego naszym zdaniem przekupili poprzedniej nocy. Jeżeli ktoś był marionetką, to na pewno on. Dick Wilson stał za nim, a on robił wszystko, co Dick Wilson mu kazał. Dick Wilson był Przewodniczącym Rady Plemienia, był swoim własnym obrońcą i oskarżycielem.

Było trzech członków Rady, którzy oskarżali go o niewłaściwe używanie funduszy plemiennych i inne rzeczy, bo naruszył wiele praw plemiennych. Ci trzej członkowie Rady wiedzieli, że nie działał w imieniu swojego ludu, do czego był zobowiązany. I to było podstawowe prawo, które złamał. Bo działał w imieniu Dicka, jego rodziny, bojówek i przyjaciół. Nie działał w imieniu Plemienia Siuksów Oglala. Tych trzech skrzyżujących świadków wstało, żeby przemówić, a wtedy sędzia dał im tylko trzy minuty, zabrał im mikrofon i dał go tym, którzy byli po stronie Wilsona. Byli przekupieni przez Dicka Wilsona - to było widać wyraźnie. Nie zostawili na tych trzech członkach Rady suchej nitki, aż wreszcie wstał Hobart Keith - jeden z trójki - i powiedział: „Pójdę z tym do Sądu Federalnego".

PEDRO: „Zeszli ze sceny i zamierzali udać się do Sądu Federalnego, a 650 naszych wstało i zaczęło krzyżeć i wrzeszczeć. Później wróciliśmy do Calico i omówiliśmy to. Zawsze gdy indziemy do Plemienia, do BIA, tonormalnie zatrzaskują nam drzwi".

ELLEN: „Od tej pory /24 lutego/ jeździliśmy do Calico na nasze spotkania i decydowaliśmy, co dalej robić. Tańczyliśmy tam. Powiedzieli nam, że nikt nie może tańczyć ani gromadzić się na terenie rezerwatu. Były to słowa Dicka Wilsona, ale my powiedzieliśmy, że to jest nasz rezerwat, że rezerwat należy do LUDZI i nadal zamierzaliśmy się zbierać i tańczyć, jeżeli będziemy mieć na to ochotę. Nie mogli nas złamać.

Byliśmy obserwowani 24 godziny na dobę - przez cały czas byliśmy w Calico. Wszędzie wokoło była policja federalna. Czasem przychodzili pijani bojówkarze, więc prosiliśmy ich, żeby odeszli, bo my nie piliśmy tam i nie chcieliśmy pijanych. Chcieliśmy spokojnego spotkania".

„Zdecydowaliśmy, że potrzebujemy tam Ruchu Indian Amerykańskich, bo nasi mężczyźni bali się i chowali za plecami kobiet. To głównie kobiety wychodziły naprzód i przemawiały. Wiedzieliśmy, że w ten sposób zdobędziemy poparcie i będziemy mieć więcej siły do zrobienia tego, co chcieliśmy zrobić przeciwko BIA i Dickowi Wilsonowi. Wszyscy ludzie tego chcieli. To było spotkanie ludzi z całego rezerwatu, ze wszystkich ośmiu okręgów. Wszyscy nasi starsi ludzie z rezerwatu pomagali nam podjąć decyzję. Praktycznie wszyscy wodzowie z rezerwatu - ale było tylko jednego szamana, ale on jest naprawdę stary i chory i nie mógł tego zrobić.

Miejsce było bardzo zatłoczone. Liczbę głosujących obliczyliśmy na 300, ale na zewnątrz było jeszcze więcej ludzi, którzy chcieli wejść, ale nie mogli się zmieścić. Chciałam, żeby weszli bo byli to ludzie z całego rezerwatu, a to ludzie powinni mieć głos w rezerwacie, a nie sam Dick Wilson.

W czasie spotkania było z nami tylko dwóch członków AIM, i był to nasz brat Russell Means, a godzinę później przyszedł Dennis Banks, usiadł przy drzwiach i słuchał nas. I kiedy mówiliśmy o tym, wtedy wodzowie powiedzieli: „Idźcie i zróbcie tak, idźcie do Wounded Knee. Nie możecie się dostać do biura BIA i biura plemiennego, więc weźcie braci z Ruchu Indian Amerykańskich i tam założcie swoją placówkę. Pozbądźcie się ich i nie rozgłaszaćcie, że idźcie do Wounded Knee. Mówcie, że jedziecie na spotkanie do Porcupine". I tak zrobiliśmy."

LOU: „Policzyliśmy, że 54 samochody opuściły Calico, żeby pojechać tam tamtej nocy - 54 samochody i wszystkie załadowane. Wszystkie samochody były dośkonale pełne".

GLADYS: „Było późno w nocy, niektórzy z nas przybyli nieco później, kierowaliśmy się prosto do tamtejszego kościoła. I tam siedzieliśmy do rana. Nie spaliliśmy, nikt z nas nie spał, bo baliśmy się bojówkarzy i że ktoś nas może zaatakować. Ci policjanci z workami piasku na dachu budynku BIA i karabinami maszynowymi wymierzonymi w nas, Indian, byli już co najmniej od dziesięciu dni, zanim przyjechalibyśmy do Wounded Knee.

Wiele, wielu z nas po raz pierwszy bierze udział w czymś takim - w okupacji budynku czy okupacji kawałka ziemi. Wielu z nas myślało, że zostaniemy tam przez noc, najwyżej przez kilka nocy. A za cztery dni minie miesiąc, odkąd tu jesteśmy".

ELLEN: „Myśleliśmy po prostu, że zajmiemy ten teren i będziemy tu siedzieć z wszystkimi naszymi ludźmi, i że będą oni mogli wyjechać, a potem wrócić z żywnością i innymi rzeczami, tak, żebyśmy mieli co jeść, i że będziemy się spotykać i kontaktować tak długo, aż osiągniemy to, co chcemy od Pine Ridge. Myśleliśmy, że będziemy mogli swobodnie jeździć tam i z powrotem. Nie myśleliśmy, że zostaniemy zamknięci w klatce jak stado zwierząt".

GLADYS: „Odkąd jesteśmy tutaj, w Wounded Knee, ciągle do nas strzelają, zawsze po zmroku. Ostatniej nocy zaatakowano nas najciężiej. Sądzę, że Wielki Duch jest z nami, i że żadna kula nie znajdzie drogi do naszych ciał. Pewnej nocy biegliśmy z tego małego kościoła przez grad kul. Kule gwizdały wokół nas - za nami, nad naszymi głowami, pod stopami. To Wielki Duch musiał nas chronić w drodze przed kulami białego człowieka - przed gwinińskimi kulami - jak je nazywam. Będziemy utrzymywać naszą placówkę tak długo, aż staniemy się całkowicie niezależnym suwerenym narodem, Narodem Siuksów Oglala".

CI POLICJANCI Z BIURA DO SPRAW INDIAN /BIA/, POLICJA FEDERALNA I LUDZIE Z FBI NIE MAJĄ WCALE WŁASNYCH MÓZGÓW. JEDEN Z NICH POWIEDZIAŁ MI: „TO ONI WYDAJĄ ROZKAZY, A JA JESTEM TYLKO ZWYKŁYM ZAPRZYSIĘŻONYM FUNKCJONARIUSZEM. I MOIM OBOWIĄZKIEM JEST NARZUCIĆ ICH PRAWA PRZY POMOCY BRONI". ONI MUSZĄ POSTĘPOWAĆ WEDŁUG TEGO, CO JEST NAPISANE W KSIĄŻCE. MUSZĄ SIĘ ZWRACAĆ DO WASHINGTONU I PYTAĆ: „CZY TO JEST W TEJ KSIĄŻCE? CZY TO W PORZĄDKU, PANIE NIXON? CZY POWINIEMSI MU NA TO POZWOLIĆ, CZY TEŻ LEPIEJ GO ZASTRZELIĆ?" „OCH, IDŹCIE I ZASTRZELCIE GO".

- Wallace Black Elk

przetłumaczył Marek Nowocień

cdn

Chyba wszyscy zgodzimy się co do tego, że wyobrażenia przeciętne- go Polaka o Indianach kształtują przed wszystkim książki przeczytane głównie w młodości. Również dla nas książki są głównym źródłem wiedzy o świecie Indian, ich historii i współczesności, ich kulturze duchowej i materialnej. Dobra lub zła książka może mieć duży wpływ na czytelnika, na jego przyszłe zainteresowania i poglądy na temat Indian.

Zdając sobie o tego sprawę chcielibyśmy się zorientować jakie książki o tematyce indiańskiej, wydane w naszym kraju, są wśród Was najpopularniejsze, najbardziej przez Was cenione, które z nich chcielibyście polecić innym do czytania i dlaczego.

Dlatego ogłaszamy:

### plebiscyt na najlepszą książkę o Indianach

i zachęcamy wszystkich do wzięcia w nim udziału - im więcej waszych głosów otrzymamy, tym bardziej wiarygodne będą wyniki plebiscytu TAWACINu i w przyszłości - dobór odpowiedniej lektury.

#### ZASADY PLEBISCYTU

Prosimy o nadsyłanie /w listach lub na kartkach pocztowych/ Waszych propozycji 10 najwrażliwszych, najbardziej interesujących i godnych przeczytania książek o tematyce indiańskiej wydanych w języku polskim.

Mogą to być książki dotyczące zarówno Ameryki Północnej, jak i Ameryki Łacińskiej /a także poświęcone Indianom w ogóle lub tylko częściowo/. Interesuje nas nie tylko literatura faktu /opracowania popularno-naukowe, reportaże, biografie itp./, ale także beletrystyka /powieści, opowiadania, legendy itp./.

Możecie też wymienić osobno książki Waszym zdaniem najgorsze.

W naszym plebiscycie wystarczy podać tytuł książki i nazwisko jej autora /lub redaktora, jeżeli jest to praca zbiorowa/, ale zależy nam także na Waszych opiniach, recenzjach, uwagach i argumentach - najciekawsze z nich opublikujemy w kolejnych numerach TAWACINu.

Propozycje na najlepszą polską książkę o Indianach prosimy nadsyłać pod adresem:

MARKUSZ NOWOCIEŃ, Os. IX-lecia 48/14, 57-200 ZĄBKOWICE ŚL.

+++    +++    +++    +++    +++    +++    +++    +++    +++    +++    +++    +++

Zawiadamiamy, że nie przyjmujemy już żadnych ogłoszeń, że ktoś poszukuje takich to, a takich książek. Interesują nas tylko te książki, które możecie odstąpić innym.

Zamienię „Geronima żywot własny” oraz „Pochowaj me serce w Wounded Knee”. Na propozycje czekam pod adresem: Arkadiusz J. Kilanowski, ul. Mickiewicza 32/3, 87-100 Toruń.

W tym roku na zlocie w Chodzieżu ktoś zostawił w moim tipi zegarek na rękę marki „Rakieta” /made in USSR/. Właściciela proszę o zgłoszenie się. Roman Bala, ul. Kickiego 9, 04-372 Warszawa.

Poszukujemy dobrych nagrań z muzyką indiańską /wzależnie od rodzaju/. Prosimy o kontakt z Redakcją podając jednocześnie co to za muzyka /np. tytuł płyty/ i w jakim stanie technicznym.

Z serii „Biblioteka Tawacinu” do nabycia tomik poezji Roberta A. Swansona „Łamiąc stereotypy”. Przeł. Marek Maciołek, cena 150 zł.

